CZYTELNIA

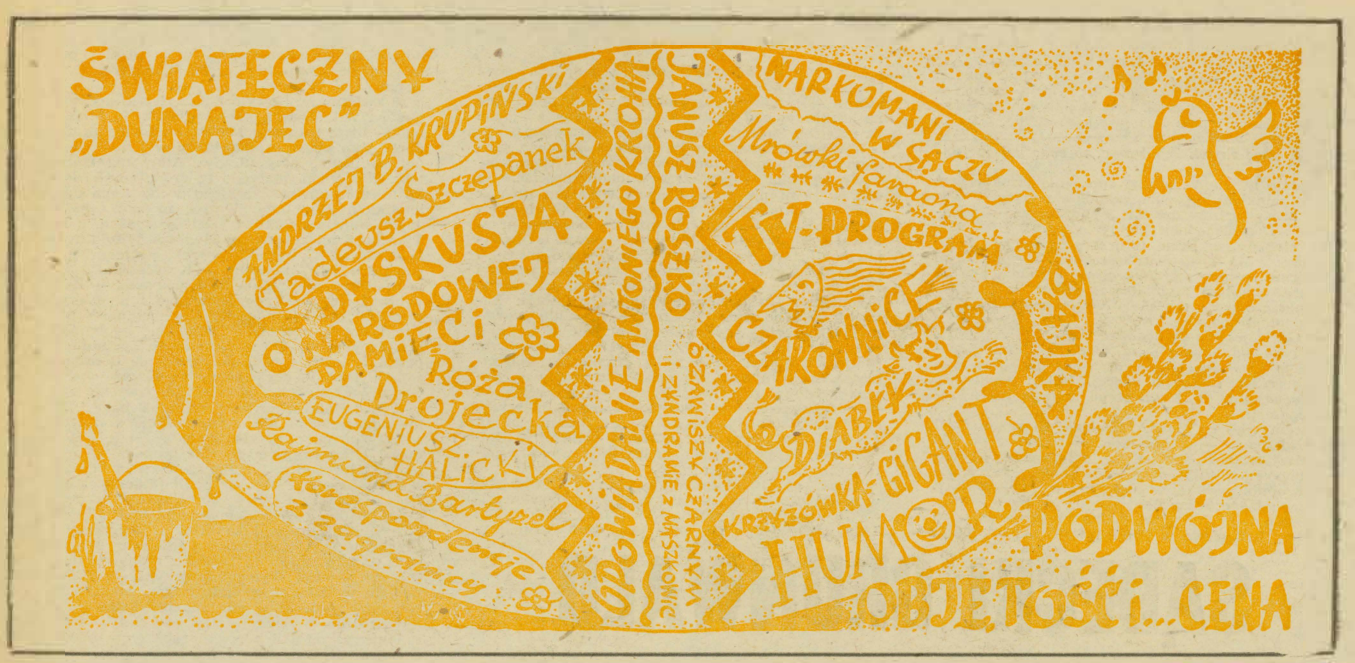

DUNAJEC
TYGODNIK PZPR

Nr 12-13 (75-76) ROK III Nowy Sącz 11-18 kwietnia 1982 Cena 20 zł

U schyłku lat sześćdziesiątych przemierzył naszą ziemię rodzinną wzdłuż i wszerz wybitny polski reporter, Janusz Roszko. Wertował stare kroniki i księgi parafialne, słuchał archeologów, rozmawiał z twórcami sądeckiego eksperymentu, z partyzantami i ludźmi powszedniego trudu. Plon swych wędrówek zawarł w dwudziestu dwu reportażach, które złożyły się na tom opatrzony tytułem „Jak na Zawiszy".

Kusi nas od dawna myśl, by pójść tropem Roszki, dotrzeć w te same miejsca, odszukać jego bohaterów, zobaczyć, jak owocuje dzieło tych, którzy odeszli na zawsze, dopowiedzieć ciąg dalszy epizodów szkicowanych kilkanaście lat temu. Trudno będzie sprostać temu zamysłowi: Janusz jest z Historią na ty, a piórem włada po mistrzowsku.

Zanim ruszymy ścieżką wydeptaną przez rasowego reportera, przypomnieć pragniemy fragmenty jego szkicu o dwóch bitnych rycerzach, którzy chlubę Sądeczyźnie przynieśli.

JANUSZ ROSZKO

Sądecki Grunwald

Na początek wybrałem te dwa punkty: Maszkowice i Rożnów. Dwie nazwy z imionami grunwaldzkich bohaterów związane. Zyndram z Maszkowic i Zawisza Czarny z Garbowa, ale w Rożnów wżeniony. Dwaj najznamienitsi rycerze Grunwaldu — z tej gleby, tej ziemi nieurodzajnej, kamienistej, ale za to bitnych zawsze ojczyźnie dającej rycerzy. *„Dobra ziemia nie rodzi dobrych wojowników"* — to pisał już Herodot

Kiedyś na grodzisko w Maszkowicach, gdzie wielki głaz potomni położyli, aby pamięć Zyndrama uczcić — pojechałem ze znamienitym archeologiem, kierownikiem Karpackiej Ekspedycji Archeologicznej PAN, docentem Andrzejem Żakim. Docent pogrzebał w ziemi, wyjął jakowąś skorupkę i powiedział lakonicznie: *Łużyce.* W języku archeologów oznacza to, że skorupka, a zatem i obiekt pochodzą sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Ładny gips: pięćset lat przed naszą erą jacyś nasi praszczurowie już nad Dunajcem się kokosili i jeszcze gród warowny sobie zafundowali. To znaczy, że było ich wielu, skoro zdołali fortalicjum postawić i że szlak nad Dunajcem, idący od południa, miał już wtedy wielkie znaczenie. Zresztą wykopaliska jeszcze z dawniejszych epok, z przełomu neolitu i epoki brązu (cztery tysiące lat temu!) potwierdzają łączność kulturową Małopolski z terenami zakarpackimi. I ten szlak — naddunajecki — potwierdza grodziskiem w Maszkowicach, którędy tę łączność nawiązywano.

Docent powiada:

— *Uznawano tę ziemię, całe niemal Karpaty, za teren puszcz nieprzebytych, gdzie tylko zwierz siedział albo zbójnik, który zaszył się w knieć przed sprawiedliwą karą. Nie wierzyłem w to od dawna.*

I archeologia potwierdza, iż ziemia sądecka bodna była przed setkami, przed tysiącem i przed tysiącami lat także.

— *No dobrze, panie docencie, ale przyjechaliśmy w sprawie Zyndrama?!*

— *Zaraz, zaraz. Chce pan szybko czytelnikowi te kilka tysięcy lat darować i z roku 500 p.n.e. od razu w rok 1400 przeskoczyć? Prawie dwa tysiące lat?*

Zaproponowałem, że może tę archeologię rozparcelujemy po całej książce, podług klucza topograficznego. Będzie o Starym Sączu — będzie jednocześnie o jego wykopaliskowej przeszłości, będzie i o Tropiu, powiemy o romańszczyźnie. Docent zgadza się i przechodzimy tedy tak, jak było naszym zamiarem — do mocnej figury rycerza, zwa-

(DALSZY CIĄG NA STR. 2)

SĄDECKI GRUNWALD

(DALSZY CIĄG ZE STR. 1)

nego Zyndramem z Maszkowic, który pod Grunwaldem krakowskiej chorągwi znak dzierżył.

— *Chodźmy jeszcze kawałek, coś panu pokażę.*

Podchodzimy ku rozpadlince, wyrwie raczej, w ziemnym wale grodziska. Docent patykiem pogrzebał w ściance i pokazuje jakieś kamienie.

— *Proszę bardzo, mur.*

— *A więc zamek Zyndrama, to znaczy jego fundamenty?*

Wydaje mi się, że można spokojnie już kojarzyć z tym zamkiem napis na kamieniu wyryty w 500-lecie bitwy grunwaldzkiej: „Zyndramowi — ziomkowie". Docent jednak jak nie skoczy!

— *Ależ proszę pana, to jest gród łużycki, więc ten mur... Ma 7 metrów szerokości, nie drobiazg. Kamienie łączone warstwą gliny. I zbudowano go na wcześniejszej zabudowie grodu łużyckiego. Przypuszczam, że ten mur będzie pochodził z okresu lateńskiego.*

— *Gdzie jeszcze są podobne mury?*

— *Tragedia, proszę pana, tragedia. Jest coś podobnego w Poznachowicach, czyli na grodzisku szczyrzyckim, i nigdzie więcej. Można powiedzieć — ewenement, czyli coś, czego szukają ludzie zadni sensacji.*

Docent wie, co mówi. Lata całe tu przesiedział na badaniach — a Maszkowice rozkopał po raz pierwszy w 1954 roku jeszcze, potem w 1958 badania ponowił. I tutaj przytoczę zdanie z pracy docenta, opublikowanej w 1960 roku w „Małopolskich Studiach Historycznych":

„Jest natomiast rzeczą godną zastanowienia, że warstwy kulturowe w pobliżu wału nie zawierają wcale — lub prawie wcale — znalezisk średniowiecznych, szczególnie z czasów Zyndrama. W każdym razie fakt ten zdaje się wskazywać, że w tym miejscu grodu Zyndrama nie było". Wydawało się wówczas, że mogło to fortalicjum Zyndramowe leżeć nieco dalej w kierunku północno-zachodnim, bowiem ktoś rozpowiadał o znaleziskach tam militariach średniowiecznych. Aliści, jak pięknie powiada docent — informacje te nie sprawdziły się. Zamku Zyndrama istotnie nie było.

Gdzie więc szukać Zyndrama? Słaców grunwaldzkiego rycerza, któremu historycy odebrali już po ostatnich badaniach naczelne dowództwo wojsk pod Grunwaldem, a archeolodzy kasztel w Maszkowicach?

— *Niech pan weźmie jeszcze pod uwagę, że przed rokiem 1410 i po roku 1410 Maszkowice należą do panien Klarysek ze Starego Sącza... Ale mamy informacje o tym, że Zyndram... Zresztą, to trzeba wszystko po kolei.*

Skąd wzięło się przekonanie o naczelnym dowództwie Zyndrama? Z dziejów Jana Długosza, znakomitego publicysty XV wieku, który nie bił łysego Litwina imieniem Jagiełło. Profesor Kuczyński w swojej książce *Wielka wojna z zakonem krzyżackim* pisze, iż Długosz chce zatuić osobę prawdziwego naczelnego wodza, bowiem inaczej musiałby uznać, że zasługa rozgromienia Krzyżaków przypada Jagielle. Zyndram był li tylko tym, któremu król — podług Bernarda Wapowskiego — „straż obozu i rząd nad wojskiem poruczył". Rząd — w znaczeniu staropolskim podporządkowanie. Wprawdzie znakomity nieżyjący niedawno, Jan Dąbrowski, obstawał przy wodzostwie Zyndrama, bowiem wykluczał dowodzenie zarówno przez Jagiełłę, jak i Witolda — ale z tym wykluczeniem Jagiełły sprawa wydaje się nader niepewna.

Przede wszystkim nasuwa się pytanie, czy Witolda podporządkowałby król Zyndramowi? A dumnych panów krakowskich — Jana Tarnowskiego, Krystyna z Ostrowa, a rycerzy takiej sławy jak Zawisza Czarny z Garbowa chociażby?! Kim był jednak Zyndram? Był wobec nich wszystkich chudopachołkiem. Zyndram pochodził z mieszczan sądeckich, był obywatelem Nowego Sącza, a przodkowie jego najprawdopodobniej byli sołtysami w Maszkowicach. Bohater ten jest więc jak najbardziej ludowego pochodzenia.

Oto daty z jego życiorysu: w roku 1390 bierze udział w wyprawie przeciwko Krzyżakom i zbuntowanemu Witoldowi. Od Jagiełły w nagrodę otrzymał dowództwo w zdobytym zamku Kamieńcu Litewskim. Od roku 1404 pełni urząd miecznika krakowskiego, w roku 1405 występuje już jako dziedzic „de Jassel" — czyli Jasła, w 1407 jako dziedzic i starosta tej miejscowości. W następnym roku występuje w źródłach jako starosta goleski (capitaneus golesiensis). Nadal pełni funkcję miecznika krakowskiego, jako dowódca chorągwi krakowskiej i obożny, który sprawia szyki przed bitwą — występuje pod Grunwaldem. A po bitwie?

Nie dostał ani nagrody, ani dowództwa. Po bitwie nie najlepiej się Zyndramowi wiedzie, skoro wraz z żoną Anną zaciągają pożyczkę 76 grzywien pod zastaw młynów i dochodów...

Gdzie zatem szukać śladów Zyndrama? Ba, są one w Nowym Sączu, ale nie trafi na nie chyba już nikt. Są w podjasielskiej okolicy — i tam należy szukać: w Krajowicach pod Jasłem, gdzie docent Żaki badał zamek Golesz, w Zyndramowej koło przełęczy dukielskiej, w Jaśliskach — a także trzeba przeanalizować wiadomości o grobie Zyndrama w Brzozowie. Trudno dziś wydać wyrok ostateczny — ale wydaje się, że Zyndram wodzem naczelnym pod Grunwaldem nie był. Był natomiast jednym z najznamienitszych rycerzy tej bitwy.

Tak oto dokończyłem historii bohatera spod Grunwaldu, który okazał się plebejuszem i sądeckim mieszczaninem. Docent Żaki namawia mnie na ekskursję pod Duklę, tam też piękny kraj, ale ja przecież Sądecczyzny trzymać się muszę.

W Nowym Sączu wita nas ułomek murów z gankiem i basztą, dziś „zamkiem" zwany — choć właściwy wyleciał w powietrze w okolicznościach do dziś w pełni nie wyjaśnionych. Otóż ten ułomek murów dokumentuje przedgrunwaldzką historię Nowego Sącza — w tych murach bowiem przebywał król Jagiełło z Witoldem jeszcze w kwietniu roku 1410, na kilka miesięcy przed bitwą, i tu właśnie, w Nowym Sączu, „uchwalano wojnę i założono radę wojenną". Tu, w Sączu na zamku narodziła się sławna grunwaldzka wiktoria. Zanim jednak do narad w stronę Grunwaldu prowadzących przejdę — muszę wspomnieć o wielkim paradoksie historii, który stworzył miasto. Oto król Wacław Czeski na gruncie wsi Kamienica — przeciwko Staremu Sączowi, polskiemu z dawien dawna grodowi, przeciwko Polsce — tu swój gród niemiecko-czeski wystawił. I oto ten Sącz Nowy, Wacława Czeskiego miasto — jak jeden mąż za Piastem walczącym o tron polski stanęło. Za Łokietkiem. Polskie miasto, na polskim wyrosłe, patriotycznym podglebiu (...)

Kazimierz Wielki gdzieś w połowie XIV wieku wzniósł murowany zamek nad brzegiem Dunajca. Do tego zamku zjechali król Jagiełło i Witold. Tutaj później Jan Długosz synów królewskich e-

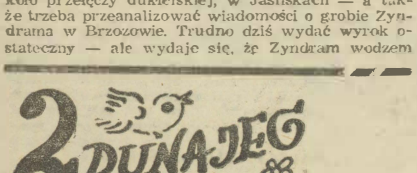

dukował. Tu Jan Kazimierz popasał, przed Szwedami uciekając. Miasto kazał poddać, mieszkańców na trud obrony nie chciał narażać. Ale miasto niedługo pod Szwedów butem wytrwało. Mieszczanie sądeccy, spośród których niegdyś wyrósł Zyndram z Maszkowic — teraz mieli pośród siebie Kochowskich, Wąsowiczów, Tymowskich, Warzechów... Stare sądeckie rody polskie — kupców, rajców, burmistrzów. Z wsi okolicznych, uzbrojone w widły, kosy, cepy jeżastymi kulami zakończone — ruszyło chłopstwo przeciw Szwedowi. Przewodził Kochowski i bracia Wąsowiczowie. Od Nawojowej, Podegrodzia, Brzezn., Łabowej podeszli nocą i nad ranem 13 grudnia 1655 roku Sącz jako pierwsze miasto w Polsce pobił Szwedów. Sławna, opromieniona legendą cudownego ocalenia i „przykładu Polsce danego" Częstochowa zmusiła Szwedów do odejścia spod murów dopiero 26 grudnia 1655! Trzynaście dni różnicy — ale ileż dumy u sądeczan! Nie była to przecie tak nowocześnie wyposażona forteca i takimi znakomitymi działami najeżona, jak Częstochowa. A poza tym Szwedzi siedzieli w środku — i sądeczanie musieli zamek zdobywać!

Ubolewają kronikarze, iż chłopstwo ruszyło na Szwedów — zachęcone obietnicą swobodnego rabunku dworów arjańskich. Tych wiele było w Sądeczyźnie. Jordanowie, Taszyccy, Wielogłowscy — sami to *bracia polscy*. Trzy tysiące chłopstwa ruszyło ich folwarki rabować, palić i mordować tych, co na wiarę katolicką przejść nie chcieli.

Szły lata — zniweczony raz jeszcze przez przeciągające wojska Rakoczego, wyludniony i opustoszały Sącz chylił się ku upadkowi. Przyszła na domiar złego morowa zaraza. U schyłku Rzeczypospolitej szlacheckiej, w 1786 roku, miasto miało 27 domów murowanych, a inne — to były drewniane budy i lepianki z gliny. Miasto przyłączone do Austrii przez Józefa II już w 1770 roku, obdarzone funkcją „stolicy gubernatorstwa" — trwało w niewoli polskie i nieugięte. Zamek zmieniono na składy rządowe i piekarnie. Starodawne malowidła na sufitach pokryły się zaciekami, niszczały sztukaterie, kruszyły się marmurowe ozdoby.

Po I wojnie światowej w na wpół zniszczonych salach poczęto organizować Muzeum Ziemi Sądeckiej. Kustosz ówczesny, Roman Szkaradek, gromadził eksponaty historyczne i regionalne, myśląc, że jedno ze skrzydeł zamku, strawione pożarem od iskry z piekarni — odbuduje się i znów ten klejnot Piastów i Jagiellonów pięknieć będzie w panoramie miasta nad Dunajcem jak niegdyś. Niestety — wszystko stało się inaczej.

[...] Pozostał tylko strzęp murów, ułomek baszty kowalskiej starannie konserwowany, aby o potędze całości mógł zaświadczyć. Zamek opromieniała sława Grunwaldu, w jego murach prócz króla Jagiełły i księcia Witolda nieraz przebywali i Zyndram Maszkowski, i najsławniejszy rycerz naszych dziejów, Zawisza Czarny. Tradycyjnie pisany „z Garbowa" — w istocie w Rożnowie już, który otrzymał w posagu żony, gospodarzył.

Krzyżacy do spółki z królem Czech, Zygmuntem Luksemburczykiem, i Władysławem Opolczykiem knuli przeciwko Polsce. W Malborku powstał pierwszy plan rozbioru Polski. Działo się to jeszcze nim na tronie polskim zasiedli Jadwiga z Jagiełłą. Zygmunt Luksemburczyk, pobity przez Turków — zawarł z Polską rozejm na lat sześnaście i za Karpaty już nie chciał sięgać. Władysław Opolczyk, dzierżący z łaski Węgier spory kawał ziem polskich — zmarł w 1401 roku. Przed rozpoczęciem wielkiej kampanii przeciwko Zakonowi trzeba było porozumieć się z Zygmuntem — jakie wobec tej polsko-krzyżackiej wojny zajmie stanowisko. Zawsze trzymał z Zakonem. Zygmunt pono pierwszy wysłał nawet gońców, aby spotkać się w Witoldem i Jagiełłą. Prosił ich do Kieżmarku. Tymczasem już wstępne przygotowania do kampanii szły: wielkie łowy w Puszczy Przyszowskiej pod Leżajskiem i Puszczy Racięskiej zarządzono, aby przygotować wielkie zapasy mięsiwa solonego i wędzonego dla wojska.

W ścisłej tajemnicy przygotowano plan budowy mostu pontonowego, który w częściach miał budować cieśle w puszczy — aby później posłużył wojsku do przeprawy przez Wisłę pod Czerwińskiem.

„6 kwietnia w Nowym Sączu stanęli gospodą (Jagiełło i Witold) w kamienicy Gerdorfa mieszczanina" — pisze Szczęsny Morawski. Identyfikuje Gerdorfa jako mieszczanina, który w Krakowie sprzedał kamienicę przy ul. Św. Anny dla Uniwersytetu. Nie wiem, dlaczego twierdzi, że Gerdorf, jako mieszczanin niemieckiego pochodzenia był zwolennikiem Zygmunta. Wątpię mocno: czyż wtedy Jagiellonowie szukaliby gospody właśnie u niego?! Tym bardziej że podług Długosza Witold z Jagiełłą naradzali się tu „w największej tajemnicy o prowadzeniu dalszej wojny z Krzyżakami". Jagiełło pchnął samego Witolda do Kieżmarku — Zygmunt uciekł się, wziął go na stronę i w cztery oczy oferował koronę litewską. Jeżeli stanie z nim i z Krzyżakami przeciwko Jagielle. Zapomniał, że Krzyżacy zabili dzieci Witoldowe. Zygmunt w dodatku bezczelnie oświadczył, że nie dotrzyma pokoju, jeśli Polacy uderzą na Krzyżaków. Sprawa stała się jasna: należało dodatkowo ubezpieczyć południową granicę na czas batalii. Witold nie odpowiedział nic na propozycje korony litewskiej. Tuż po powrocie Witolda z rozmów, w tej części Kieżmarku, gdzie stał gospodą — wybuchł pożar. Ktoś podburzył miejscowych przeciwko polskiej delegacji i Witold podług niemieckiego historyka „omal nie był zabity przez tłum wrogi". Polacy z Witoldem uciekli z Kieżmarku — król Zygmunt pędził za nimi aż do Białej... aby się pożegnać. O żadnych układach nie było mowy.

Na zamku sądeckim zwołano radę wojenną królestwa — tak się ogólnie przypuszcza. Uchwały podjęte w dalekim południowym zakątku Polski, pomiędzy sądeckimi górami, przygotowały sławny rok 1410. Z Sącza raz jeszcze stał król gońców na Węgry: zażądał powrotu rycerzy polskich, którzy przy Zygmuncie Luksemburczyku walczyli przeciw Turkom. Był tam wśród nich najsławniejszy zagończyk, Zawisza Czarny z Rożnowa i brat jego Jan Farurej, Piotr Rożeń i Domrat Grzymała z Kobylanki; wszyscy usłuchali wezwania królewskiego — przybyli na walną z Krzyżakami rozprawę, wymówili Zygmuntowi służbę.

Zawisza urodzony gdzieś pod sandomierskim Garbowem, gdzie ród nie najbogatsze miał gniazdo — nagrodzony przez Zygmunta Czorsztynem — zyskał należytą oprawę dla swojej wielkiej sławy. Potem — ożenił się z Barbarą, córką Piotra Rożna, i za żonę dostał Rożnów i 3000 grzywien... Ba, niektórzy historycy znów powiadają, iż z tą Barbarą ożenił się syn Zawiszy, natomiast sam bohater pojął za żonę Barbarę, siostrzenicę biskupa krakowskiego, Wysza. Na widowni występuje jeszcze trzecia Barbara, Zawiszanka — wnuczka Zawiszy, a matka sławnego hetmana Tarnowskiego. Choć rozsądniej byłoby istotnie widzieć w Rożnowie dopiero syna Zawiszy — jednego z trzech. Dwóch dało głowę pod Warną, trzeci w bitwie z Krzyżakami pod Chojnicami, jego nagrobek widziałem w kościele w miejscowości Koło, w dalekiej Wielkopolsce. Chyba jego córką mogła być Barbara, urodzona około 1447 — już po Warnie. Za nią poszły wszystkie włości Zawiszów w ród Tarnowskich.

Łaciński wiersz, kuty w marmurze w krakowskim kościele Franciszkanów, gdzie sprawiono symboliczny pogrzeb Zawiszy w 1428 roku — długi i wspaniały, ułożył kanonik krakowski, Adam Świnka:

Lśni twój herb, ale twoje nie leżą tu zwłoki,
Zawiszo Czarny, sławy wieczystej rycerzu,
Czynami przewyższyłeś ród swój, choć wysoki,
Przedziwną cnotą męstwa — ojczyzny puklerzu.
Nie wydolę cnót twych opisać mnogości...
(tłum. Karol Bunsch)

Jedyna to pamiątka z tamtych lat, choć ruiny zameczku — w gąszczu krzewów leszczyn, jeżyn na wzgórzu ponad Rożnowskim Jeziorem dziś się wznoszące — chcą wszyscy za siedzibę bohatera spod Grunwaldu uważać. Ktoś nawet — widząc jeszcze w XIX wieku uszkodzone sklepienie kaplicy zamkowej — wołał: oto wali się sklep, pod którym Zawisza ślub brał z Barbarą Rożnówną...

Pojechałem przyglądać się ruinom zamku na wysokiej skałce, przedzierałem się przez krzewy, aby dotknąć murów tzw. zamku Zawiszy. W istocie zamek ten wznosił Piotr Rożeń, syn Sulisława. Ten Piotr to najprawdopodobniej rówieśnik Zawiszy. A zamek był znany już w chwili śmierci Kazimierza Wielkiego, w 1370 roku. Fakt, iż Barbara Zawiszanka pochodzi z Rożnowa, zda się wskazywać na Rożnów jako na gniazdo rodowe Zawiszów, a wobec gmatwaniny źródeł — ożenku samego Zawiszy z córką Sulisława Rożna wykluczyć się nie da.

Wbrew dyskusjom przesadnie dokładnych kapłanów historii albo też obok nich — Zyndram trwa na Maszkowicach i Zawisza w rożnowskim zamku. W świadomości ludu, który wykazał ofiarami podczas wojny nie byle jaki patriotyzm.

Z zameczku Zawiszy widać taflę sztucznego jeziora. O nie walczyli Sądeczanie, ratując zaporę przed wysadzeniem przez Niemców. Ci bohaterowie spod Grunwaldu patronowali kurierom przedzierającym się pod hitlerowskim obstrzałem przez zielone granice, inteligencji sądeckiej ginącej pod salwami plutonów egzekucyjnych, kolejarzom paraliżującym transporty wroga, partyzantom „Tatara" czy właśnie „Zawiszy" — działającym na tyłach hitlerowskiej armii.

Wychowane na jagiellońskiej historii miasto walczyło niezmordowanie z okupantem, nie bacząc na ofiary. Krwawiąc, padając, nie poddawało się, zadawało ciosy — nie szczędząc ofiar. Za to Nowy Sącz dekretem Krajowej Rady Narodowej odznaczony został w dniu 6 września 1945 Krzyżem Grunwaldu.

JANUSZ ROSZKO

- **Co w nowosądeckim dziedzictwie ma wartość żywą, przydatną współczesnemu człowiekowi?**
- **Jaki użytek robimy z owego dziedzictwa?**
- **Co możemy uczynić, by jak najpełniej istotne elementy przeszłości zespolić z teraźniejszością?**

DYSKUSJA o SZTUCE DZIEDZICZENIA

Przed dwoma laty opublikowaliśmy wielogłos twórców, działaczy społecznych i pedagogów, którego intencją było określenie naszych powinności wobec wielowiekowej spuścizny narodu. Mówiliśmy wtedy, że Ojczyzna to ujmujący serce urodą pejzaż; obyczaje i język; myśl Kopernika i Chopinowska nuta; męstwo żołnierza i talent artysty. Nade wszystko jednak: Ojczyzna — zbiorowy obowiązek.

Mówiliśmy, że narodowi potrzebna jest mądra pamięć o minionym. Że trzeba się potrudzić, by posiąść wiedzę o przeszłości. Że bez żywego dialogu z tradycją nie będziemy wiedzieć, dokąd naprawdę idziemy...

Kilka miesięcy po tamtej dyskusji nadeszło gorące lato roku 1980. Tendencyjna interpretacja wybranych kart przeszłości oraz nadużywanie narodowych symboli służyło walce z ludowym państwem. Przyniosło ogromne spustoszenia w świadomości obywatelskiej, zwłaszcza wśród młodych. Dlatego postanowiliśmy powtórzyć naszą dyskusję o sztuce dziedziczenia. Bogatsi o doświadczenia posierpniowe podejmujemy w miesiącu Pamięci Narodowej próbę kolejnego przybliżenia ważnego tematu.

W rozmowie uczestniczą: STANISŁAW GLINKA, powieściopisarz zamieszkały obecnie w Nowym Sączu; ZYGMUNT GOETEL, historyk, działacz ZBoWiD z Zakopanego; MARIAN JANIGA, pedagog z Gorlickiego; pułkownik EDWIN KONIECZNY, komisarz Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego; PIOTR KRUK, wiceprzewodniczący ZW ZSMP; dr ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI, historyk sztuki, dyrektor Muzeum Okręgowego; dr WACŁAW RACZKOWSKI, historyk, działacz partyjny; IRENEUSZ WRZESIEŃ, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego.

Adam Ogorzałek

Historia często gości na łamach „Dunajca". Publikujemy wspomnienia, pamiętniki i refleksje naszych ojców, by utrwalić niedległy czas walki o niepodległość i społeczną sprawiedliwość. Sięgamy także w dalszą przeszłość, świadomi, że z niej wyrasta teraźniejszość i przyszłość. Idzie nam nie tylko o to, by ocalić od zapomnienia fakty zasługujące na szacunek. Pragniemy przede wszystkim traktować historię jako nauczycielkę życia. Ponieważ ona bowiem uporządkować zdarzenia w logiczną całość, uczy myśleć i wyciągać wnioski.

Dziś, na przykład, jedną z pilnych potrzeb jest podjęcie dialogu z środowiskami naznaczonymi różnymi urazami. Trzeba znaleźć wspólny język, stanąć ponad uprzedzeniami, podjąć to, co łączy patriotów. Przeciwnicy socjalistycznego ustroju organizują front odmowy. W „emigracji wewnętrznej", w konspiracji, w jątrzącej akcji ulotkowej, upatrują swą szansę. 13 grudnia ich rachuby zakończyły się porażką. Zmienili więc taktykę. Nie dążą w tej chwili do bezpośredniej konfrontacji, lecz usiłują oderwać społeczeństwo od państwa.

To groźny zamysł. W naszym ustroju władza państwowa nie może przecież na dłuższą metę działać bez aktywności społeczeństwa. Trwałe pogorszenie obywateli z władzą przyniosłoby opłakane skutki i Polsce, i Polakom.

Dlatego serdecznie witam naszych gości, którzy swą obecnością tutaj zaświadczają, iż obca jest im postawa dystansowania się od aktywności w życiu publicznym. Mądre rozwiązania dotyczące przyszłości nie zrodzą się wśród tych, którzy nabrali wody w usta.

Musimy rozmawiać — inaczej porozumienia nie osiągniemy. To również lekcja płynąca z historii.

Zygmunt Goetel

Treść zaproszenia, które otrzymałem, zaczyna się od zdania: *Przed dwoma laty redakcja „Dunajca" opublikowała dyskusję „O sztuce dziedziczenia", która spotkała się z dużym rezonansem społecznym.* Przed dwoma laty... To okres czasu niedługi, nie tylko w tysiącletniej historii narodu, ale nawet w życiu jednego pokolenia. A jednak te dwa lata oznaczają przełom strukturalny w wielu dziedzinach życia. Wprawdzie nie rozpadła się ukształtowana po drugiej wojnie światowej formacja społeczno-gospodarcza, niemniej jednak przeżyliśmy i przeżywamy nadal okres burzy i naporu, płynący dalej wartkim i spienionym nurtem, pełnym zasadzek, skalnych progów, niebezpiecznych uskoków, żeby posłużyć się słownictwem ze spływu Dunajca przez Podhale, Pieniny i Sądeczyznę.

Celem naszej wizyty w redakcji „Dunajca" jest wspólne poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, jak w owej sytuacji wykorzystać doświadczenia przeszłości dla kształtowania postaw patriotycznych. Zastanawiam wobec tego udzielić odpowiedzi na pytania postawione w zaproszeniu lub też wyrazić wątpliwości w sprawach, na które nie znajduję jednoznacznej odpowiedzi.

Najłatwiej przyszło mi znaleźć jednoznaczną odpowiedź na pierwsze pytanie. Niewątpliwie w dziedzictwie nowosądeckim wiele elementów zachowało nieprzemijające wartości. Na dobry i zły czas. Zachowały wartość żywą i przetrwają przez czas trudny.

Przystępując do rozważań nad drugim pytaniem nie potrafię sformułować tak jednoznacznej opinii. Czy rozliczne imprezy, widowiska dobrze służą budzeniu patriotycznych uczuć... W ostatnich dziesięcioleciach stałem blisko takich imprez. Wiele z nich na pewno dobrze służyło budzeniu i umacnianiu patriotyzmu i świadomości społecznej. Wspomnieć trzeba przed innymi dwie imprezy zorganizowane przez Zarząd Oddziału ZBoWiD w Zakopanem, tematem ściśle ze sobą związane sesje na temat „Walki z hitlerowskim okupantem w Sądeczyźnie i na Podhalu w latach 1939—1945" oraz „Polskiej akcji przerzutowo-kurierskiej w kierunku południowym w latach 1939—1944". Organizatorami i prelegentami tych sesji byli historycy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, z Wojskowego Instytutu Historycznego oraz działacze Komisji Historycznej Zarządu Głównego ZBoWiD. W obu tych sesjach wzięli aktywny udział żołnierze i dowódcy oddziałów partyzanckich, szerokiego wachlarza ugrupowań: AK, BCh, GL PPS i AL, jak również kurierzy z różnych szlaków i siatek przerzutowych. A w sesji „Polska akcja przerzutowo-kurierska" wzięli też licznie udział obywatele czechosłowaccy, głównie mieszkańcy pogranicza uczestniczący w polskiej akcji w kierunku południowym. Była więc sesja manifestacją nie tylko patriotyczną, lecz i internacjonalistyczną. Ponadto uczestniczyłem w okresie posierpniowym, w uroczystym wręczeniu dyplomów przewodnikom beskidzkim w nowym schronisku na Hali Łabowskiej. Wygłosiłem tam prelekcję o historii polsko-słowackiego pogranicza w Tatrach i Beskidach. Brałem też udział w imprezach organizowanych przed Sierpniem przez organizacje studenckie. Były to grupy, które szły szlakami kurierów, przez Słowację na Węgry. Nie jestem jednak pewien, czy proporczyki, mapy i inne akcesoria historycznego sztafażu były faktycznie ideową treścią, a nie przedmiotem tej turystycznej imprezy. Na pewno takie akcenty, jak wabra na Hali Chochołowskiej, nastrój, otoczenie tatrzańskich wierchów, udział jednego z najsłynniejszych kurierów tatrzańskich, Stanisława Fraczystego — sprzyjały historycznej zadumie i patriotycznym refleksjom młodych, mnie jednak nadal ogarniały wątpliwości, refleksje na szersze i głębsze tematy patriotycznego wychowania. Zapewne wiele z tych imprez organizowano, aby „odfajkować" tylko ideologiczną, polityczną działalność.

Wreszcie — trzecie pytanie postawione w zaproszeniu. Nie bardzo potrafię rzetelnie na nie odpowiedzieć. Będę się więc przysłuchiwał, by uzyskać pogląd konkretniejszy.

Wacław Raczkowski

Kilka refleksji na temat nauczania historii... Historia, szczególnie w ostatnim okresie, wykorzystywana była jako instrument walki politycznej. Tak było zawsze, ale szczególnego znaczenia sprawa ta nabrała w ciągu ostatnich dwu lat. Nie będę tu streszczał wszystkich polemik nad wieloma zagadnieniami zwłaszcza z historii najnowszej, ale pragnę podnieść sprawę pewnych przegięć i koniunkturalnego traktowania historii przez naszych przeciwników politycznych. Trzeba się uderzyć w piersi, że i z naszej strony nie wszystko było w porządku; „luki w historii", które przeciwnik mógł wykorzystać do swoich celów, niewątpliwie nas obciążają. Te „luki" zostały zastąpione niejednokrotnie po prostu mistyfikacjami. Kto jest za to odpowiedzialny? Za kształtowanie świadomości historycznej główną odpowiedzialność ponosi szkoła. Co prawda nauczyciele usiłują tę swoją odpowiedzialność osłabić mówiąc, że ma na to wpływ również dom, środowisko, organizacje, ale świadomość, wiedzę historyczną w sposób uporządkowany kształtuje, na całe życie, właśnie szkoła. A tymczasem sytuacja wśród nauczycieli wygląda fatalnie. Duża część tego środowiska dała sobie narzucić różne mistyfikacje i zafalszowania. Gorzkie, a nawet żenujące jest to, że zdarzają się historycy, którzy nie umieją myśleć historycznie. Cóż się dziwić, że nie potrafią nauczyć takiego myślenia swych uczniów? Jest więc paląca potrzeba — doraźnie wzięła to na siebie partia — pracy wśród nauczycieli w formie zorganizowanych stałych działań, w których będziemy wypełniać luki i prezentować nasze racje.

Problem drugi to popularyzacja regionalnych badań historycznych. Nie jest z tym u nas najlepiej, mimo że w ostatnich latach powołano wojewódzką stację naukową Polskiego Towarzystwa Historycznego. Jakoś jednak rezultatów badawczych nie widać. Środki popularyzacji... od tego trzeba zacząć, bo bez nich trudno mówić o wykorzystywaniu doświadczeń przeszłości. Jedną z najlepszych jeszcze dziś form jest książka. A więc rozejrzyjmy się: *„Rocznik Sądecki"* już dawno przestał być rocznikiem, takie są trudności z jego wydawaniem. Badacze-społecznicy, którzy starają się „Rocznik" wydawać, nie napotykają niestety na pomoc ze strony administracji państwowej. Są też wielkie trudności z monografią Nowego Sącza, przygotowywaną na jubileusz 700-lecia miasta. Monografia taka, bardzo potrzebna, od wielu lat nie może wyjść poza plany, przebić się przez trudności typu biurokratycznego. Boję się, że pozornie długi, bo dziesięcioletni okres dzielący nas od roku jubileuszowego, może jednak nie wystarczyć na uwieńczenie tych wszystkich starań.

Monografie mają też pewną wadę — niewielki jest krąg ich odbiorców. Znakomitą formą popularyzacji dziejów i tradycji może być prasa. Pragnę tu wyrazić mój podziw i uznanie dla doktora Krupińskiego, że podjął trud prowadzenia na łamach „Dunajca" cyklu publikacji o zabytkach.

Piotr Kruk

Pozwólcie, że przypomnę słowa pana Józefa Plechty, wypowiedziane podczas owej sprzed dwóch lat dyskusji: *„Usłyszeliśmy tu dużo słów pięknych, mądrych, przemyślanych, i tak dalej, ale powiedzcie, jak się to stało, że cała nasza rozmowa w pewnym momencie zeszła na problemy młodzieży. Ich wymiar widzenia świata jest nieco inny. I dlatego chociby śmy mówili o młodzieży z jednej strony — że jest hiperpatriotyczna, a z drugiej strony — że jest zmaterializowana, to mówimy tylko pół prawdy. Cała prawda zamknięta jest w osobowości tej generacji, która wchodzi w życie."* Właśnie: w osobowości tej generacji. Należałoby zapytać, jak osobowość młodych generacji w powojennym trzydziestoparoleciu miała możliwość się kształtować? Padło tu sformułowanie, że historia jest wykorzystywana przez naszych wrogów. Ja twierdzę, że nie historia jest wykorzystywana, a nieznajomość tej historii. Nieznajomość historii przez najmłodsze pokolenie Polaków, przez moich rówieśników. Przede mnie samego. Jako działacz młodzieżowy z paroletnim już stażem sam mam wiele wątpliwości i problemów z odpowiedzią na podstawowe pytania. Dla mnie bardzo znaczący — i bardzo to przeżyłem — był moment, gdy w na-

(DALSZY CIĄG NA STR. 4—5)

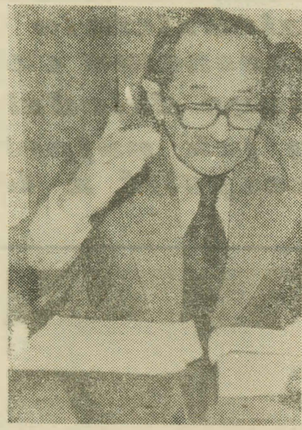 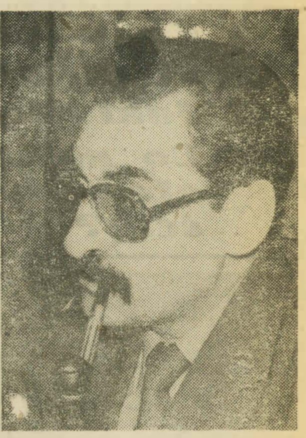

STANISŁAW GLINKA: — *Umiłować to znaczy stworzyć więzi.*

ZYGMUNT GOETEL: — *Dwa ostatnie lata to cała epoka...*

MARIAN JANIGA: — *Warto przypomnieć eksperyment sądecki...*

EDWIN KONIECZNY: — *Tu jest rodzinne gniazdo, do którego się zawsze wraca...*

(DALSZY CIĄG ZE STR. 3)

szym kraju nasiliła się akcja, na pewno prowokowana, bezczeszczenia miejsc pamięci narodowej, a zwłaszcza tych miejsc, gdzie pozostały ślady pomocy militarnej Związku Radzieckiego. Najczęściej sprawcami byli ludzie w wieku 14—16 lat; nie ludzie dojrzali społecznie i obywatelsko, dorośli, lecz po prostu młodzież szkół średnich. Przyjrzyjmy się więc, jak kształtowano patriotyczne postawy tej młodzieży? Z własnych doświadczeń wiem, że ogromnie wiele było luk, wiele faktów po prostu zatajano, przemilczano, więc przeciwnik polityczny wypełnił te luki po swojemu. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej zainicjował akcję młodzieżowych wszechnic historycznych. Zwróciliśmy się z prośbą o wydanie tu, w Nowym Sączu, metodą kserograficzną „*Poprawek z historii*", w których z punktu widzenia naszych racji panstwowych chcieliśmy pokazać młodzieży te fakty, których dotychczas nie znała. Niestety, do dziś nie udało nam się sprawy sfinalizować...

Z młodzieżą trzeba pracować na co dzień. Jest ona pełna niepokoju — ma prawo do tego niepokoju — i trzeba jej odpowiadać uczciwie, mówić z nią szczerze, otwarcie. Również o tych najtrudniejszych sprawach. Młode pokolenie musi uzyskać odpowiedzi na pytania, które stawia — otrzymać od nas, bo inaczej udzieli ich przeciwnik polityczny.

Wacław Raczkowski

Nieprawdą jest, że o wielu sprawach nie można się dowiedzieć z odpowiedzialnych źródeł. Prawie wszystkie te tak zwane „trudne" momenty z najnowszej historii, również z dziedziny stosunków polsko-radzieckich, są publikowane w dostępnych materiałach, wydanych w Polsce Ludowej. Nauczyciele, którzy stawiają sprawę tak, „tego na studiach nie nauczono" czy „tego nie ma w podręcznikach" zapominają, że studia polegają właśnie na studiowaniu, a nie uczeniu się od wykładowcy, a podręczniki, z których dziś korzystają, są przeznaczone dla ucznia, a nie dla nich. Z naszą historiografią najnowszą wcale nie jest tak źle, jak to by się wydawać mogło na podstawie propagandy przeciwnika.

Marian Janiga

Mało jest takich zakątków w Polsce, jak nasz, gdzie tak autentycznie patriotyzm od lat się krzewi. I może właśnie dlatego tubylcy niezbyt lubią obcych, bo ci obcy o patriotyzmie mówią w sposób letni i „inteligencki".

Nie dziwmy się, że nasze, nowosądeckie społeczeństwo, chce mieć władzę stąd pochodzące, że chce mieć własnych naukowców — bo oni potrafią najgłębiej wniknąć w tutejszą psychikę, najlepiej czują tutejszy klimat społeczny i kulturalny, bo oni — po prostu — są stąd. Stąd wynoszą swe tradycje, obyczaje. Bardzo silnie zakorzenione.

Mówię o tym, bo uważam, że wszystko, co jest **tradycją**, co kształtuje przywiązanie do ziemi, tworzy autentyczny patriotyzm tutejszego społeczeństwa i trzeba się zastanowić, jak ten patriotyzm przekazać młodemu pokoleniu. Trzeba sięgnąć do korzeni .I wydaje mi się. że to co jest ogólnonarodowe, wyrasta właśnie z tego co regionalne. Kto ośmiesza regionalizm, owo autentyczne przywiązanie do regionu — czyni źle. **Bo najpierw trzeba mieć przywiązanie do ziemi, do matki, do domu, do najbliższego regionu, a dopiero na tych uczuciach można kształtować miłość do ojczyzny.** Czupurne powiedzenie o „ptokach", „krzokach" i „pniokach" znakomicie oddaje problem związania się z własnym regionem, wrastania w ten teren i kontynuowania tutejszej kultury.

Wiele elementów regionalizmu może służyć kształtowaniu patriotyzmu. Można tu przypomnieć eksperyment sądecki, który dlatego miał szanse powodzenia, że tutejsi ludzie chcieli wspólnie dla swej ziemi działać.

Ireneusz Wrzesień

Jak dziś przetwarzać, kontynuować — dziedziczyć te dawne wartości? Okazuje się, że nie jest to ani proste, ani łatwe. Wiemy, że w danym zwyczaju były takie cechy, jak pracowitość, czystość, szacunek do ziemi, walka o plon. I nagle to województwo, które nadal jest przecież piękne, zatraca jakby rzetelność. Czy potrafiliśmy zatem wychować młodzież w potrzebie piękna? W jego poszanowaniu? Jakże często właśnie z braku poczucia piękna, z braku wychowania w potrzebie piękna, nasze pomniki walki i męczeństwa są zaniedbane, porośnięte chwastami i świadczą o zwykłym niechlujstwie. Jakże często mówi się, że nasze wioski są szare, miasta niekolorowe. I chciałbym, aby właśnie ten temat: wartości, które mamy kontynuować — szczególnie tu mocno uwypuklić, podkreślić, zastanowić się, jak je stosować.

Chciałbym wrócić do naszej ziemi, która nie jest łatwa, klarowna historycznie. I jeśli często mówimy o regionalizmie, o wychowaniu w tym duchu, o „ptokach" i „krzokach" — to wydaje mi się, że naszym najświętszym celem jest to, aby nasze towarzystwa regionalne za podstawową sprawę w swej działalności przyjęły, że ta „*mała ojczyzna*" musi żyć w pełnej zgodności z „*dużą ojczyzną*". Nie może być inaczej.

Marian Janiga

Nie widzę żadnej sprzeczności i nie widzę, by nasza kultura regionalna w czymś przeszkadzała ogólnopolskiej kulturze! Nie widzę, by nasi górale byli tak czupurni, czy mieli tak zamknięte umysły, aby tej prawdy nie dostrzec!

Stanisław Glinka

Umiłować cokolwiek — to znaczy stworzyć więzi. Mówiąc o patriotyzmie mamy więc do czynienia ze sferą uczuć. Nie będę tego problemu rozwijał, ale miałbym postulat, ażeby do sfery uczuć trafiać więcej tym, co za serce, za uczucia bierze. Nie chcę, rzecz jasna, pomijać i negować sfery racjonalnej, sfery rozumu, ale moim zdaniem wszystko to, co wiąże się z pięknem tej ziemi — a również z pięknem całej Polski — powinniśmy wprzęgać w działania wychowawcze, które sięgają daleko w głąb człowieka. I tu podkreśliłbym przede wszystkim rolę pracy. **Praca jest najlepszym wychowawcą, praca tworzy owe głęboko sięgające więzi.**

Naszym największym skarbem sądeckim jest przyroda — piękno krajobrazu, czystość wód, uroda lasów. Jak to wygląda w praktyce? Często mamy do czynienia z nieszanowaniem tej przyrody, zaśmiecaniem terenu, myciem samochodów w rzekach, wycinaniem lasów, nieprzestrzeganiem podstawowych zasad utrzymania tego piękna. A więc trzeba uczyć szacunku dla niego. To trzeba wpajać od dziecka. Uważam, że tutejsze szkoły powinny w większym niż dotychczas stopniu angażować do tego młodzież. Dalej: władze administracyjne, władze porządkowe powinny zadbać w sposób bardziej wydatny, konsekwentniejszy, by przestrzegano przepisów, które ochronie tutejszej ziemi służą. Dalej mam na względzie uszanowanie tutejszych tradycji, zwyczajów. Dlaczego nie przyoblekamy tej ziemi w owe strojne szaty. Dlaczego młodzież nie poznaje urody swego otoczenia? Miałem do czynienia z młodzieżą szkolną, która nie orientuje się nawet, że w pobliżu szkoły, że w jej rodzinnej miejscowości są wspaniałe zabytki kultury materialnej i bardzo niewiele może o nich powiedzieć. Nie zna zwyczajów, obyczajów. Młodzież jest wychowywana w nieznajomości tego, co wyrasta korzeniami z tej ziemi.

Dalej: chciałbym podkreślić jedną zasadniczą rzecz — tożsamość Polski. Mamy tę Polskę jedną i należy wypowiedzieć wojnę tym wszystkim hasłom, które mamią mirażami, które tworzą zamęt w głowach młodego pokolenia. **Polska nie będzie nigdy ani Japonią, ani Ameryką, ani jakąś „drugą Polską", a będzie i pozostanie na zawsze sobą, Polską jedyną, wyrosłą z własnej krwi, z własnej historii i tradycji.**

Proponuję, żeby zapoczątkować akcję spotkań pokoleń. I na te spotkania powinniśmy angażować uczestników walk o Ojczyznę, a więc tych, którzy własnym czynem uczyli się patriotyzmu, którzy ten patriotyzm noszą w sercu i będą go mogli przekazać młodzieży. Ale nie tylko ich. Powinniśmy również przez takie spotkania popularyzować sztandarowe postacie ludzi mądrych i doświadczonych, ludzi takich, którzy są nosicielami miejscowych tradycji i obyczajów, którzy tkwią głęboko w tym, co dla Nowosądeckiego jest charakterystyczne, co czyni z tej ziemi ów niepowtarzalny i zarazem piękny region. Popularyzować miejscowych mędrców-gawędziarzy, owych współczesnych Sabałów. Mam również na względzie organizowanie spotkań ze znawcami zabytków przyrody i kultury materialnej. Wyjdźmy z tym do szkół, do organizacji społecznych. Dlaczego jest to ważne? Bo Nowosądeckie jest zagłębiem zdrowia, odwiedza je cała Polska i tutejsi ludzie powinni swoje obowiązki usług nie tylko materialnych, ale i w dziedzinie kultury, wypełniać jak najlepiej, przekazywać przybyszom to wszystko, czym się nasza ziemia słusznie szczyci, co tworzyły wieki.

Byłbym też za tym, by organizować w szkołach, w organizacjach młodzieżowych, i nie tylko młodzieżowych, sieć Ognisk Miłości Ziemi Nowosądeckiej (nazwa, oczywiście, umowna), gdzie, obok tworzenia kultu dla piękna gór i pogórza, poczesną rolę odgrywać powinno wychowanie, a więc pielęgnowanie takich cech, jak grzeczność, gościnność, czystość itp.; słowem cech, które winny znamionować dobrych gospodarzy przyjmujących gości. Walkę należy też wydać językowi, w którym roi się od „łaciny".

I jeszcze ostatnia sprawa: nie czekajmy na wielkie dzieła, na monografie, na wielkie opracowania literackie — a starajmy się wszystko to, co oddziaływa na sferę emocjonalną pozytywnie, wydawać w prostszej postaci, ale szybko, by dotrzeć do jak najszerszych kręgów.

Edwin Konieczny

Jestem „ptokiem", ale przebywam tu obecnie non stop szósty miesiąc, a moje pierwsze kontakty z tą ziemią datują się jeszcze sprzed drugiej wojny światowej. Jestem również przewodnikiem tatrzańskim.

Sprawa patriotyzmu regionalnego zaprezentowanego tutaj ... tak, jest on niezbędny, tu jest przecież gniazdo, rodzinna ziemia, korzenie, do których się wraca, które się chce mieć jednoznacznie określone. I ja również uważam, że aby być patriotą w sensie ogólnonarodowym, trzeba być rzetelnym patriotą swojej ziemi, tej bezpośrednio rodzinnej, skąd się wyszło. Nieważne, gdzie się później trafiło — tu się wraca zawsze z sentymentem, cierpi się na nostalgię. Jest to jednak zawsze patriotyzm uczuciowy, nazwałbym go może nawet intuicyjnym. Jest on zakodowany, idzie z pokolenia na pokolenie, ale na tym poprzestać nie możemy. Dziś w kontekście niezwykle ostrej walki, ścierania się poglądów — przy samej intuicji czy nawet instynkcie klasowym nie możemy pozostać. **Człowiek-patriota musi swoje uczucia, swoje emocje podbudować konkretną wiedzą.** Właśnie wiedzą racjonalną. Musi wiedzieć i rozumieć, dlaczego jest patriotą, umieć to wyjaśnić komuś innemu.

Jak to osiągnąć, jak do tego dojść? Stanisław Glinka bardzo słusznie zwrócił uwagę, że trzeba szukać wszystkich możliwych sposobów, angażować wszystkie możliwe siły do upowszechniania dorobku, tego, co jest powodem naszej dumy. A po drodze, owszem, nie od rzeczy jest zwrócenie uwagi także i na wady. I trzeba to robić powszechnie. Dobrze, jeśli zostaną zmobilizowane do tego odpowiednie siły. Ale przede wszystkim sięgnijmy po niezwykle liczną armię nauczycieli. Przyjemnie mi było posłuchać, jak zabrany po drodze mały Cygan

opowiadał o Zyndramie z Maszkowic. Uczeń szóstej klasy szkoły podstawowej. Było to naprawdę sympatyczne. Chłopak bardzo rezolutny. Ktoś tam w jego szkole zadziałał w sposób właściwy. Jeśli ten nauczyciel działa tak non stop, to cześć mu za to i chwała! Spójrzmy wszakże szerzej na nauczycieli — przykro, że nasza kadra nauczycielska uprawia rzecz zakazaną: ukończywszy niegdyś studia, dziś uczy się z tego samego podręcznika, z którego uczy się uczeń. Jest to dla mnie niezwykle przykre. Pytam: kto zabrania czytać choćby codzienną prasę, w której jest tyle wiadomości na temat naszego **„dzisiaj i tutaj"? Kto zabrania czytywać czasopisma?** Nie chcę wracać do tego, jak był po pewnego okresu usytuowany w hierarchii społecznej zawód nauczyciela, bo dziś robimy dużo, by należytą rangę **nauczyciela przywrócić. A w związku z tym musimy** wyraźnie precyzować i zobowiązania nauczyciela: nie tylko nauczyciel, ale właśnie i wychowawca. I do grona tych osób, które muszą uczyć miłości ziemi rodzinnej, trzeba nauczycieli zaprosić.

Marian Janiga

Tylko tak się składa, że te myśli kierujemy do nauczycieli, których dziś w szkole nie ma — bo dobry nauczyciel, z ambicją, dawno ze szkoły odszedł...

Edwin Konieczny

Odpowiem na to, że nie kwalifikacje fachowe w zakresie jakiegoś przedmiotu czynią z człowieka patriotę. To nie zależy od kwalifikacji i nawet ten nisko kwalifikowany w przedmiocie może realizować **zadania wychowawcze. Musimy** znaleźć takie bodźce, tak sformułować zadania, by nauczyciel z sercem wykonywał tę pracę. Wszystkie instancje i instytucje muszą mu w tym pomagać.

Chciałbym też przy okazji zwrócić uwagę, że lansowany przez naszych wrogów program był jednoznacznie przeciwko nam kierowany, a z przykrością należy stwierdzić, że wielu Polaków często podejmowało hasła nie zastanawiając się nad ich treścią, często w ogóle nie wiedząc o co chodzi. Określone osoby, określone grupy społeczne lansowały je i wdrażały w myślenie naszego mało przygotowanego obywatela. Niestety, również często i tego słabo przygotowanego nauczyciela.

Polakiem zostaje się nie z wyboru, lecz dlatego, **że się urodziłeś na tej ziemi w polskiej rodzinie.** I z tego wynikają konkretne obowiązki wobec rodzinnej ziemi, wobec własnego narodu. Czujemy się więc w obowiązku spełnić to, co na nas przypada tu, w tej naszej wspólnej rodzinie. Niestety, oddziaływanie propagandy antysocjalistycznej, a w ścisłym tego słowa znaczeniu — antypolskiej, jest bardzo aktywne, zaś nasz odpór na to — ciągle zbyt nikły.

Od trudnych pytań nie uciekniemy i musimy dawać na nie odpowiedzi, jakie by te pytania nie były. Musimy rozmawiać. Otwarcie i szczerze — nic nie wolno dziś owijać w bawełnę, bo tylko wtedy naszę oddziaływanie na środowisko może być skuteczne.

Wykorzystanie bogatej historii tej ziemi, tych wielkich patriotycznych zrywów, jakie tu miały miejsce, to nasza olbrzymia szansa w oddziaływaniu na środowisko, na społeczeństwo. Jest tu również szansa w wykorzystaniu „ptoków" — którzy na tę ziemię przybywają: oddziaływać na nich, ale i wykorzystywać ich, jeśli tylko mają coś do powiedzenia.

Powinniśmy mieć coraz więcej ludzi gotowych iść do szkoły, do środowiska nauczycielskiego, robotniczego, wiejskiego, by podyskutować o naszych, Polaków, sprawach. Z tego będzie pożytek: i patriotyzm lokalny, i patriotyzm w ogóle, a przez rzetelny patriotyzm będzie i rzetelny internacjonalizm. **Potrzeba wychowania patriotycznego jest potrzebą ciągłą, nieustającą** — a w dzisiejszej sytuacji jest ona bardziej skomplikowana. Wzmogła się bowiem wojna o umysły ludzi, i w tej wojnie musimy uczestniczyć, musimy być tak aktywni jak nasz przeciwnik; więcej — musimy go prześcignąć w oddziaływaniu na środowisko.

Ireneusz Wrzesień

Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi: jak to się stało, że tak szybko runął gmach patriotycznych postaw, który budowaliśmy? Może był słaby, może bez fundamentów? Przecież uroczystościom, akademiom, apelom zawsze towarzyszyły emocje, więc powinien być mocniejszy. Może więc nie towarzyszyła temu dostateczna świadomość? Czy potrafiliśmy skutecznie wychowywać? I ujawniło się też później, że w micie „Japonii" nie szukano pracy, tylko iluzji. Stąd też sprawa emocji w szkole jest rzeczą niezbędną, pierwszą i potrzebną, ale przy tym trzeba też pamiętać, że tak samo ważne jest poszanowanie ławki szkolnej, murów szkoły. Czy tej sfery świadomości obowiązku nie zaniedbaliśmy? To doświadczenie powinno nas ostrzegać, by dziś podobnego błędu nie popełnić. Istotnie — patriotyzm nie jest rzeczą ani daną, ani przyniesioną; musimy ją bezwzględnie w sobie wykształtować. Budować.

I jeszcze jedno: musimy uczynić wszystko, aby **młode pokolenie nie wyszło z tej wielkiej próby, z tego zamętu**, jaki przeżyliśmy, z poczuciem klęski i braku perspektyw. Bo tego nie odrobimy. Dlatego również i to, co było dobrego w dniach posierpniowych, musi być kontynuowane. Naród nie może mieć w swej historii przerw. Najszerzej traktowane wychowanie patriotyczne winno zatem powiązać emocje z ogromnym poczuciem obowiązku wobec przeszłości i przyszłości. Jest to sprawa także wielkiej sztuki dziedziczenia.

Andrzej B. Krupiński

Środowisko, w którym nam przyszło żyć i pracować ukształtowane zostało przez stulecia przemyślanym działaniem człowieka — góry, lasy, pola z miedzami i odłogami, rzeki, stawy, jeziora oraz wszystko to, co człowiek do tej wielkiej infrastruktury przyrodniczej wprowadził własną pracą. Musimy też uwzględnić również i to, co jest nieuchwytne, ulotne: tradycję, myśl, zwyczaj ,obrzęd, a więc to, co mieści się w sferze nadbudowy, w sferze ducha, co się rozwijało przez wieki. Tak rozumiany krajobraz kulturowy jest naszym wielkim bogactwem, które — niestety — coraz bardziej — od dłuższego już czasu zubożamy. A przecież ten krajobraz kulturowy jest naszą przeszłością, a przeszłość powinna służyć przyszłości. Wysunę więc oskarżenie przeciwko nam wszystkim — że nie potrafiliśmy tego krajobrazu kulturowego właściwie uszanować ani właściwie nim gospodarować. Że w dalszym ciągu nie potrafimy korzystać z dobrodziejstw, jakie nam daje. I uważam, że tu również leży przyczyna naszych dotychczasowych niepowodzeń

Można mówić o krajobrazie harmonijnym i dysharmonijnym. Wielki średnie pozostawiły harmonijny, gdzie chałpa była wpisana w krajobraz, miasto i wieś były wpisane w krajobraz. A w pewnym momencie zaczęło się tak zwane „nowe" i „nowoczesne", owo wielkie nieporozumienie, o którym już dziś głośno mówią architekci, urbaniści, szeroko rozumiani humaniści. Zdewastowaliśmy nasz krajobraz kulturowy, budując twory nie mające nic wspólnego z potrzebami człowieka i jego zainteresowaniami — dam najbliższy nam przykład takiej wsi, jak Nowe Maniowy. Z przerażeniem dowiaduję się, że w równie nieodpowiedzialny sposób planuje się osiedle Nadzamcze w Niedzicy! Jest to brak poszanowania naszego krajobrazu kulturowego, naszej przeszłości, jest to przyczyna oderwania ludzi od tradycji. Kto tak projektuje, kto tak **buduje? Z czego żyje chłop, który nie ma wokół** siebie tego wszystkiego, co mu w jego pracy i życiu potrzebne? Co dokonuje się w jego własnym wnętrzu, jeśli odrzucił to, co niegdyś skupiało wieś, tworzyło społeczeństwo? Dewastacja ta przebiega więc i w sferze ducha, a przyczyną jest ignorancja, konformizm, decydowanie o wielu sprawach przez niedokształconych urzędników. Przykład z Nowego Sącza — rzeźnia, która wbrew rozsądkowi, wbrew negatywnym opiniom konserwatora zabytków ulega rozbudowie i modernizacji...

Mamy znakomite trzy fundamentalne przepisy — o prawie budowlanym, o ochronie przyrody i ochronie zabytków — które są systematycznie łamane przez wszystkich, od drobnego chłopa czy właściciela po ministerstwo. Niestety, minione wydarzenia, które miały źródło właśnie w łamaniu przepisów, nie nauczyły jeszcze niczego wielu osób. A póki nie nauczymy siebie, władz i społeczeństwa przestrzegania przepisów litera po literze — nigdy nie będzie u nas dobrze.

Rzecz druga — kwestia spójności społeczeństwa tego województwa. Jeszcze, niestety, nie dopracowaliśmy się jej. Nadal istnieją subregiony, z których każdy ciągnąłby do siebie, myślał o sobie. Patriotyzmy lokalne to bardzo dobra rzecz, ale nie mogą uniemożliwiać myślenia szerszego, jednoczenia się we wspólnych działaniach, w działaniach w tym samym kierunku. Powinniśmy znaleźć sposób na to, by sobie podać ręce przez Dunajec, by wszystkie sprawy dziejące się w województwie były naszymi wspólnymi sprawami.

Edwin Konieczny

Chciałbym dodać jedno zdanie: była tu mowa o patriotyzmach regionalnych. Niech one będą, oczywiście, byle się nie przekształciły w partykularyzmy, co niestety widzimy często w nowosądeckim województwie. Również władze, instytucje nie mogą patrzeć wąsko na sprawy regionu, nie mogą myśleć tylko — na przykład — o tym, czy sprawnie funkcjonuje handel, lecz muszą czuć się w ogóle odpowiedzialne za region. A tego zespolonego działania brakuje.

Marian Janiga

Na temat nauczycieli wiele mówiono tu dziś negatywnie. Muszę przypomnieć, że mamy na naszym terenie również nauczycieli, którzy są autentycznie wrośnięci w środowisko. Takie sylwetki dobrze byłoby popularyzować, bo mogą być wzorami osobowymi. Byłoby również celowe dotrzeć do profesorów kształcących nauczycieli, by więcej prac dyplomowych dawali właśnie z dziedzin związanych z naszym terenem, byłoby to bardzo istotne dla kształcenia patriotycznego.

Na pytanie, co ma wartość żywą dla pracy wychowawczej, dla kształtowania patriotycznych uczuć, odpowiedziałbym: to co jest związane z powszechną tradycją, z życiem codziennym i odświętnym. Byłoby też, moim zdaniem, słuszne, by różnych rajdów, imprez związanych z historią, a oddziałujących na sferę emocjonalną, organizować jak najwięcej. By o tych sprawach nie tylko mówić, ale by rzeczywistość społeczną zagęszczać tymi faktami. Wówczas większa będzie szansa, że treści, o które nam chodzi, dotrą do odbiorców. I nie bójmy się o brak zaangażowania młodzieży, lecz nauczmy się to zaangażowanie kierować ku celom i działaniom najwartościowszym, najcenniejszym dla Polski i regionu. Trzeba nawiązywać do zdrowych, patriotycznych uczuć młodzieży, pokazywać, że w pracy organizacji młodzieżowych i partii jest miejsce dla wyboru właściwej postawy patriotycznej i obywatelskiej.

Stanisław Glinka

Padło pytanie, dlaczego runął gmach patriotycznych postaw, jakie budowaliśmy przed Sierpniem. Moim zdaniem tamten wysiłek w kierunku kształtowania świadomości i określania obowiązków skupiał się zanadto w teorii i hasłach. Nie egzekwowano działania ,zapominając, że to ceni się najbardziej, czemu poświęciło się własny trud. Wielki pisarz francuski, Antoine de Saint Exupéry, powiedział, że chociaż na świecie są miliony róż, to jednak te cenimy najbardziej, i ta jest dla nas najpiękniejsza, którą sami zasadzimy, doglądamy i pielęgnujemy, bo właśnie jej poświęcamy swój trud.

Opracowała ELŻBIETA GLINKA
Zdjęcia STANISŁAW ŚMIERCIAK

PIOTR KRUK: — *Wiele faktów po prostu zostawiono...*

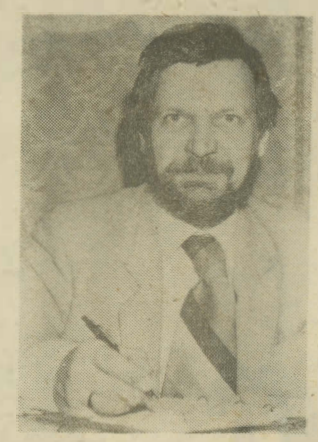

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI: — *Dewastacja środowiska ukształtowanego przez stulecia...*

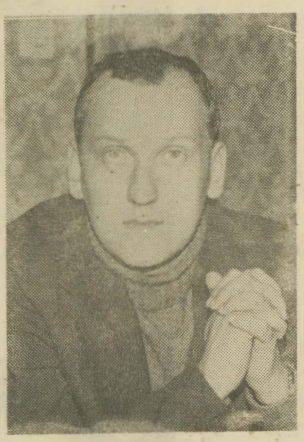

WACŁAW RACZKOWSKI: — *Palącą potrzebą jest praca wśród nauczycieli.*

IRENEUSZ WRZESIEŃ: — *Powiązać emocje z poczuciem obowiązku.*

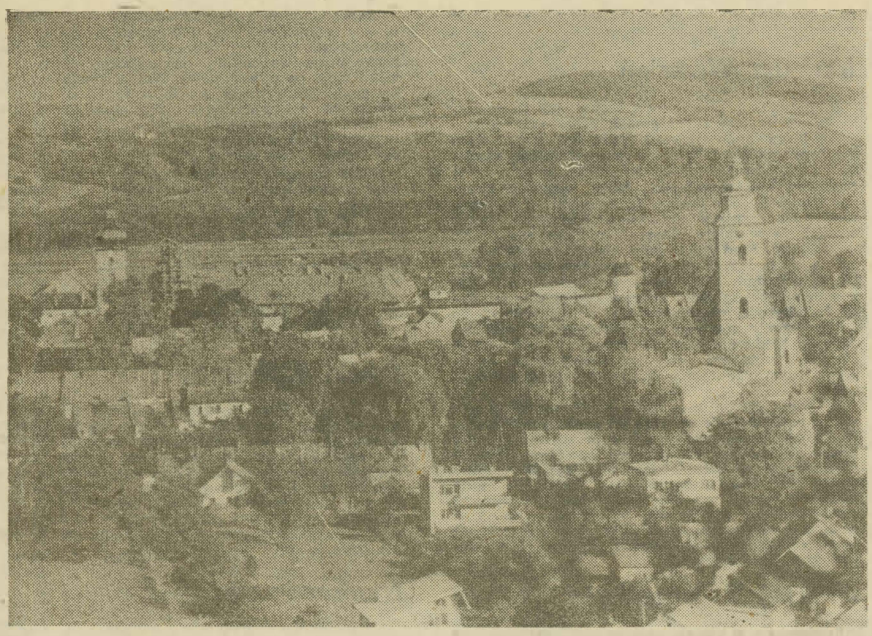

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Adam Doleżuchowicz

ZAKOPANE

OJCYZNA

Pytos mnie — synu — co to jest Polska!?
Pytos mnie — chłopce — co to jest Ojcyzna!?
Powiem ci scyrze. Powiem ci otwarcie:
Ze w tym nasym świecie kozdy ci się przyzno,
Ze ón się na tym nolepiyj znoł bedzie;
Powiy, ze to wojok, co stoi na warcie,
Powiy, ze to miasta, kany tramwaj jedzie,
Powiy, ze Ojcyzna, to Tatry, to morze,
Ze to wieś z topolom, i w polu „scyńść Boze"!
Powiy, ze to Wisła, ftoro bywo groźno!
Ze lato i zima kie na świecie mroźno,
Ze jesień i wiesna, co się kompie w kwiotkak
I dziadek, co lezie w polotanyk portkak
I chłopiec z dziywcynom kie stojom przy płocie
I kohut, i kacka, co się toplo w błocie...
Ze woły i kónie wprzęgnięte do pługa
I stryk, co na ganku grabie nozem strugo,
I gwiazdy zielone, słonko na obłoku
I krzyze przy drogak i skrzyzol w potoku...
I jesce ci powiy, ze lejba, ze burze
i śliwki w ogrodzie, i władza w mundurze
I skoły, fabryki — jednym słowem — zycie!!!
Ojcyzna bogato!!! Strojno w zywobycie!!!

Bedzie ci tyn znawca cały dzień wylicoł,
Jakie to Ojcyzna mo scyńśliwe lico!
Tak bedzie tyn bajtlok o Polsce bajdurzył,
Jakby w zywe ocy z cygańskik kart wróżył!

Pytos mnie — synu — co to jest Ojcyzna?!
Jo ci powiym prowde! Jo ci powiym krótko:
Ojcyzna — to ludzie co Jyj rąk nie utnom!
To ci Jyj synowie, co scyrze kochajom!
Rozum, krew i serce! Zycie — kie trza — dajom!
Ojcyzna — mój chłopce — to ci skromni ludzie,
Co Jom nigdy w świecie w kajdany nie skujom!
Ojcyzna — Jyj syny, jak stal twardzi ludzie,
Ftorzy Jom co dziyń żarliwie budujom!!!

Wojciech Ornacki

CZARNY DUNAJEC

WIELKANOCNA WIZYTA

Godne święta nastały
wiosna w progi wita
choć przednówek niedługo
dziś placki pachną obficie

świąteczny czas odwiedzin
łączy serca odległe
nie ma już włóczebnego
flaszka bimbru nie przysmak

staropolskie wzruszenia
rodzinne pełne gościny
święcone jajko z chrzanem
by tradycja została

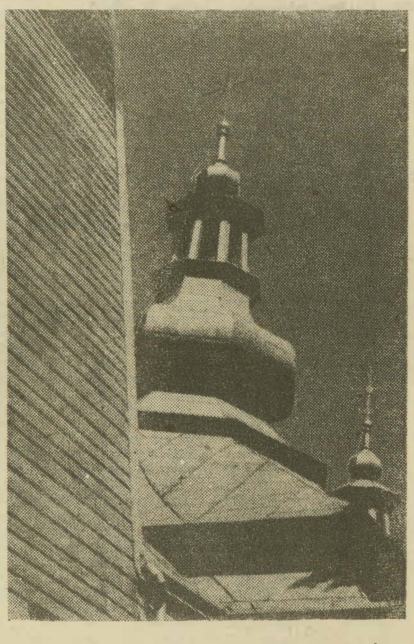

Fot. JERZY ŻAK

Ludomir Mazela

GORLICE

KAROL SZYMANOWSKI

jeszcze przejść przez tę nutę
jak przez skalną ścianę
ale dłonie — w niemocy
palce — ciszą spętane

jeszcze wziąć — odegrać
coraz bledszą
coraz bledszą codę
nie staje sił
gdy w gardle serce
podchodzi lodem

umiera dzień w alpejskiej bieli
zastyga śpiew
przysiada smutku czarny gołąb
w koronach drzew

w dolinę chmurną i daleką
gdzie płaczą Muzy
schodzą wędrowcy witać brzask
u źródła Aretuzy

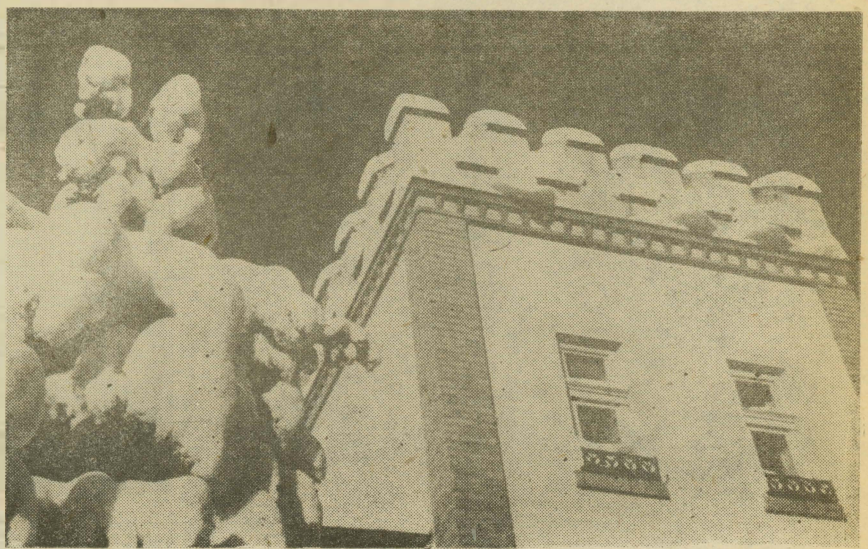

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Franciszek Łojas-Kośla

PORONIN

...GDY INNI MILCZĄ

Kim jesteś
co zwiesz się poetą –
wierzysz w światło
nie błądzisz w ciemnościach
kochasz
znając zgorzknienie rozstania
pojednujesz
siłą pojednania
wierzysz
wiarą bojaźni świętej
w zgodzie z prawem
prawością sumienia –
rozgrzeszając siebie
nie czujesz się winnym
gdy
inni milczą
głos twój donośniejszy
bijesz się w piersi
przebaczając innym
– tworzysz
rzeczywistości poetyckie zwroty
uchybień żadnych
nie dojrzy szkło mędrca
bo
jesteś wielki
wielkością prostoty.

Józef Para-Hejka

PORONIN

BAZIE

Drgnęły martwe powieki...
rozbaraszkowane niedźwiadki
rozsrebrzyły
liszaje miedz
zimorodki baź
ubaziły
rusztowania nieba
i gładziły główkami
sukienne nuty
wiązały mroźne pożegnania
witały słońca pocałunki
strzelały puszyście
wiosny wykrzykniki.

Wierzbowe bazie
plennowiosenne jagniątka
ssały
zachwytu uśmiech
niesfornie przesadzały
próg
budzikwiatu.
Bazią się
bazie
w liniejącym
obrazie.

Fot STANISŁAW ŚMIERCIAK

Leon Nowicki

NOWY SĄCZ

DOLINA

I

wszedłem
jak zagubiona
litera
w tom miasta
przecięty
w pół

Idę
za pługiem
słońca
na drugą
stronę Dunajca

zanim świt
rozchyli skrzydła
pełen źrenic śpiewu

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Jerzy Masior

NOWY SĄCZ

PYTANIA

Dlaczego wypełniasz
biegnący czas
prawdami tak uporządkowanymi,
jak szeregi
nocy i dni.

Dlaczego jesteś
po przeciwnej stronie
nieuładzonego świata,
który tworzyłem od lat
z wyższej konieczności.

Dlaczego spełniasz się
z mojego zapłodnienia
w trwaniu każdej minuty,
ale nie w tym horyzoncie,
za którym zostanę.

Nad Popradem i Dunajcem w XIII i XIV wieku

Przyroda budziła się ze snu. Gasły ognie strażnicze na okolicznych wzgórzach i zamierały głośne nawoływania świadczące o pilnym stróżowaniu nocą. Zwyczaj palenia ogni pochodził z czasów Chrobrego. Król ten: *„zarządził, aby każdej nocy kolejno włościanie i osadnicy czuwali, a wołaniem głośnym i śpiewaniem znać dawali, że pilnie stróżują. Ta straż rozumnie obmyślana sprawiła, że pogranicza Polski czują strażą ubezpieczone, nigdy od nieprzyjaciół nie mogły doznać napaści".* **To Długoszowe „nigdy nie mogły doznać napaści", tutaj nad Popradem i Dunajcem nie bardzo się sprawdziło. Chrobry zdobył ziemie aż po Dunaj, lecz widząc *„trudności w utrzymaniu zagórskiej zdobyczy wołał umocnić się w górach nad Popradem i Dunajcem".***

W ten poranny dzień 1292 roku zaspani strażnicy zamków w Czchowie, Rytrze, Muszynie kulili się z zimna w łosiowych kubrakach. Czuwano i nad Popradem, w Lemieszu. Gdy poranna mgła opadła, zdumionym oczom strażników na wieży ukazała się sylwetka kobiety wolno idącej pod górę.

Wzburzona wewnętrznie, wyraźnie zdradzająca objawy ludzkiego zdenerwowania, miała podobno wziąć do ręki swoją „cudowną" lipową laseczkę i udać się do obronnego grodu Lemiesz. Mowa tu o księżnej Kunegundzie, żonie Bolesława Wstydliwego, dziedziczce i właścicielce ziemi sądeckiej, założycielce i ksieni zakonu Klarysek w Starym Sączu.

„Na przeciwko klasztora nad Popradem na malenkim wzgórzu zbudowali byli Czesi zamek Lemiesz. Stamtąd strzegli drogi do Węgier, a poddanym klasztornym czynili wielkie szkody. Kinga śmiała i odważna przybyła na Lemiesz, przewiózłszy się przez Poprad. Bez obawy przyszła do stróżej i gromiła żołnierstwo ostremi słowy. A był tam między Czechami polski ich stronnik Piotr, pochrzesnik Kingi, któremu najżywsze robiła wymówki. Zapamiętałec! Zamiast upokorzenia uniósłszy się gniewem, przyłożył strzałę do cięciwy i wypuścił na Kingę godząc w samą szyję. Byłaby padła trupem, lecz się ręką zasłoniła, a strzała urwawszy jej kawałek palca małego lewej ręki poleciała w bok. — Bodajby cię, niewdzięczniku pierwsza strzała nie minęła, a to grzeszne miejsce całe bodajby się zapadło"!

Nieporozumienia między Kingą a władzą państwową musiały być poważne, skoro polski żołnierz średniowieczny ośmiela się strzelać do osoby, uważanej za świętą już za życia. Przyczyn tego konfliktu należy szukać dużo wcześniej.

Bolesław Wstydliwy oddając na własność Ziemię Sądecką żonie swej Kindze, zawierzył losy organizacji wojskowej pogranicza żeńskim rękom. Miał płonną nadzieję na bujny rozkwit przygranicznego osadnictwa. Sądeczyznę oddzielały w XIII w. niedostępne połacie górskie. Między Polską a Węgrami nie dało się w owych czasach wytyczyć ścisłej granicy. Obydwa państwa oddzielały lasy, pustkowia, bezludzie. O przynależności państwowej tych ziem miała zadecydować kolonizacja i osadnictwo.

Klaryski ku granicy z folwarkami się nie zapuszczały. Obawiając się strat, całą energię kierowały na osadnictwo jak najdalej od Węgier położone. Poczynały sobie zakonniczki dzielnie i bynajmniej nie żeńską ręką: *„Księni Elżbieta Białowocka chcąc pozbyć się niewygodnego sołtysa dokonała nań najazdu w dwadzieścia koni, który mógłby uchodzić za wcale męską imprezę".*

Zakonnice starosądeckie rządziły Ziemią Sądecką nie tylko modlitwą, ale i przy pomocy argumntów *„manu armata"* — jak pisze historyk ich zakonu. Takie wygnanie Strońskich w Podegrodziu dokonane było z brutalną siłą, a przy okazji *„śród zabranych rzeczy były i klejnociki ładne"*. Przykłady zakuwania poddanych wsi klasztornych w gąsiory, dyby, były również częste.

Zakonnice, nie umacniając granicy osadnictwem, popadały często w konflikt z władzą książęcą i królewską. W tej sytuacji ciężar obrony pogranicza węgierskiego, pomimo przejścia Sądeczczyzny w ręce prywatne, spoczywał w dalszym ciągu na senioralnym księciu dzielnicy krakowskiej. Wszelką organizację obrony granicy paraliżował stały brak ludności.

Od Starego i Nowego Sącza, Grybowa, aż po Podoliniec, Lubowlę, Kieżmark, Bardjów rozciągały się stoki górskie pokryte wielowiekowym złomiskiem drewna. Każdy potoczek górski był w czasie powodzi nie do przejścia. Gdy powodzi brak — średniowieczna strategia nakazywała powodowanie sztucznych wylewów przez otwieranie grobli i tam. Sądeckie zamki w Czchowie, Rytrze i Muszynie były przypuszczalnie „stróżami" z czasów Bolesława Chrobrego. Trudno było się utrzymać grodom strażniczym w tym bezludziu górsko-lesistym, zdanym tylko na własne siły i zasoby. Strategia obrony granicy z czasów Chrobrego sprowadzała się do ubezpieczenia „stróżami" głównych dróg. Ze stróż granicznych wychodziły warty na trakty i wzgórza biegnące tuż koło dróg. Trakty w średniowieczu biegną obok rzek. Do Polski wiodło ich kilka. Sądeckie grody od strony Węgier były możliwe do osiągnięcia korytami Dunajca, Popradu i Białej. Szlak dunajecko-popradzki — to trakt wielkiej drogi europejskiej, łączący Bałtyk z Dunajem, a pośrednio Ren z Morzem Czarnym. Z czasów syna Mieszka Sądecczyzna wyniosła jaką taką możliwość obronienia dróg, a tymczasem wszystkie przesmyki górskie i przełęcze pozwalały swobodnie zejść szczytami aż po Kraków.

Bezludzia obronić się nie da. Strategy wojskowi owych lat powiadają „na próżno w tych rozległych pustyniach leśnych zamki budować się będzie, jeżeli potrzebne nie zaprowadzą się osady". A osady ludzkie w XII i XIII w. sięgały w Sądeczyźnie kilka kroków za Stary Sącz i Grybów. Tam gdzie dzisiaj jest wieś Przysietnica, kończyła się Polska. Nazwa wsi wywodzi się od obowiązku utrzymywania zasiek i przesiek na drogach granicznych. Umieszczano je zawsze na głównych przejściach w dolinach rzek, w tym miejscu, gdzie trakt wchodził między osady ludzkie.

Mieszkańcy Przysietnicy do dziś nazywają wzgórza za wsią „Zabroniem" tzn., że tuż za wsią znajdował się pas linii obronnych sytuowanych zawsze na terenach osadniczo pustych, państwowo niczyich. Niezamieszkałe i niezaludnione, spełniały rolę pasa ochronnego oddzielającego państwa od bezpośredniego zetknięcia. Połacie tych ziem w Sądeczczyźnie rozciągały się tuż za jej głównymi miastami. Te wszystkie zasieki, przesieki, zawady na drodze, przeszkody strzelające, straże wojskowe — to przecież dzisiejsze nazwy wsi Przysietnica, Zawada, Zawadka, Strzylawki, Stróże, Stróżny. Dalej, to znaczy Chrobrego. Trudno było się utrzymać grodom strażniczym w tym bezludziu górsko-lesistym, zdanym tylko na własne siły i zasoby. Strategia obrony granicy z czasów Chrobrego sprowadzała się do ubezpieczenia „stróżami" głównych dróg. Ze stróż granicznych wychodziły warty na trakty i wzgórza biegnące tuż koło dróg. Trakty w średniowieczu biegną obok rzek. Do Polski wiodło ich kilka. Sądeckie grody od strony Węgier były możliwe do osiągnięcia korytami Dunajca, Popradu i Białej. Szlak dunajecko-popradzki — to trakt wielkiej drogi europejskiej, łączący Bałtyk z Dunajem, a pośrednio Ren z Morzem Czarnym. Z czasów syna Mieszka Sądecczyzna wyniosła jaką taką możliwość obronienia dróg, a tymczasem wszystkie przesmyki górskie i przełęcze pozwalały swobodnie zejść szczytami aż po Kraków.

Bezludzia obronić się nie da. Strategy wojskowi owych lat powiadają „na próżno w tych rozległych pustyniach leśnych zamki budować się będzie, jeżeli potrzebne nie zaprowadzą się osady". A osady ludzkie w XII i XIII w. sięgały w Sądeczczyźnie kilka kroków za Stary Sącz i Grybów. Tam gdzie dzisiaj jest wieś Przysietnica, kończyła się Polska. Nazwa wsi wywodzi się od obowiązku utrzymywania zasiek i przesiek na drogach granicznych. Umieszczano je zawsze na głównych przejściach w dolinach rzek, w tym miejscu, gdzie trakt wchodził między osady ludzkie.

Mieszkańcy Przysietnicy do dziś nazywają wzgórza za wsią „Zabroniem" tzn., że tuż za wsią znajdował się pas linii obronnych sytuowanych zawsze na terenach osadniczo pustych, państwowo niczyich. Niezamieszkałe i niezaludnione, spełniały rolę pasa ochronnego oddzielającego państwa od bezpośredniego zetknięcia. Połacie tych ziem w Sądeczczyźnie rozciągały się tuż za jej głównymi miastami. Te wszystkie zasieki, przesieki, zawady na drodze, przeszkody strzelające, straże wojskowe — to przecież dzisiejsze nazwy wsi Przysietnica, Zawada, Zawadka, Strzylawki, Stróże, Stróżny. Dalej, to znaczy

Podobno Kinga przed śmiercią „myślała o przeniesieniu klasztoru w miejsce, gdzie dziś Nowy Sącz. Chciała założyć warownię polską broniona przez polskie mieszczaństwo". Nowy Sącz założył jednak Wacław II Czeski. W roku 1292 nadał wsi Kamienica prawa miejskie. Zrozumiał on wcześniej, że samą lipową laseczką, choćby nawet słynącą cudami, granicy nie obronisz. Jeszcze współcześnie wśród ludu jest żywa legenda, według której księżna Kinga uratowała Sądeczczyznę przed zagonami Tatarów zatrzymując ich w Pieninach cudami. Odtąd miała codziennie, z wdzięczności za cudowne ocalenie, udawać się do zameczku w Pieninach podpierając się lipową laseczką. *Nie zakładanie grodów i osad, ale właśnie cudotwórcza laseczka była według niej symbolem obronności Sądeczczyzny.*

Kazimierza potomni nazywają Wielkim. Zahamowanie energicznie prowadzonej kolonizacji węgierskiej nad Popradem i Dunajcem zawdzięczamy właśnie jemu. Historyk—moralista, Jan Długosz, nie zapomni Kazimierzowi miłostek, ale wypominając to, co w nim „grzesznego", odda mu to, co jest w nim królewskie. Bowiem mieliczne i chyląc się ku upadkowi grody w dolinie Dunajca i Popradu wymagały ratunku. Kazimierz Wielki przebywał często w Sądeczczyźnie, którą szczególnie i dwuznacznie umiłował. W owe czasy przypadają miłostki królewskie z Rokiczaną i Esterką. *„Miłostki królewskie w Czchowie — nie tylko nie przeszkadzają, ale pomagają. Król Kazimierz zwiedzając podgórze sądeckie niezawodnie nie przepomniał tam wpłynąć na szlachtę podgórską, aby obstawali za krwią Elżbiety, jak ojcowie ich obstawali za jej ojcem, Łokietkiem. Bądź cały Czchów i cała jego okolica osadzona jest Niemcami, a rytery naddunajeccy nie zapomnieli jeszcze obyczajów, wedle których miłostki pokątne należały do kwiatów wieńca sławy rycerskiej. Rytery naddunajeccy wśród hucznych zabaw, przy pijatyce i kochankach przysięgały Kazimierzowi wierność, on zaś przyjmował ich braterstwo hulackie".*

Hulackie zabawy i spacery z Esterką nie przeszkodziły Kazimierzowi zauważyć groźnego niebezpieczeństwa. Węgierski sąsiad zza miedzy granicznej poczynał sobie stanowczo i z rozmysłem. Rozwój madziarskiego systemu obronnego w dolinie Popradu i Dunajca rozpoczął się od opanowania niegdyś polskich zamków w Podolińcu, Gnieździe i Lubowli, które jeszcze w 1272 r. były w naszym posiadaniu. Klaryski tymczasem prowadziły folwarczno-świątobliwy żywot, a węgierski sąsiad doprowadził do zupełnego oderwania od Polski Spisza i terenów po lewej stronie Popradu aż po Mniszek koło Piwnicznej. Tak też między rokiem 1315 a 1320 ustaliła się granica polsko-węgierska. Pokrywa się ona z dzisiejszą granicą polsko-czechosłowacką, z nielicznymi wyjątkami. Doświadczenie uczyło — każdy kto Krakowem włada, dla bezpieczeństwa kraju musi umocnić główną drogę południową.

Kazimierzowi widocznie się spieszyło, skoro w każdym nadaniu i przywileju powtarza się refren: *„powinien gwoli obrony wyruszyć z trzema sługami, dobrze uzbrojonymi"*, *„sołtysi w pospolitym ruszeniu służyć powinni"*. Chłop z wiosek królewskich był obdarzony szeregiem przywilejów, w zamian za pełnienie pomocniczej służby granicznej. Osadnik-kmieć z wiosek koło Muszyny musiał posiadać: lonty i kule, rusznicę, muszkiet, szablę, ładownicę, siekierę. Miał określone dnie służby w zamku i nad granicznymi przejściami pełnić wartę.

Kazimierz Wielki w 1348 r. nadaje prawa miejskie Piwnicznej i poleca karczowanie lasów pod przyszłe wsie nad samą granicą. Podnosi rangę granicznej Muszynie nadając jej prawa miejskie. Stąd mają wychodzić warty na przełęcz tylicką i wał snakowski.

Pełni więc Muszyna w systemie obronnym za Kazimierza Wielkiego i późniejszych władców podwójną rolę. Zabezpiecza drogę handlową Popradem do Nowego Sącza i ochrania od strony Tylicza dostanie się do Nowego Sącza doliną rzeki Białej przez Grybów.

W ten sam sposób — ten ostatni Piast — umocni koryto rzeki Dunajec, przebudowując lub wznosząc uzupełnieniowe umocnienia obronne w tej części Sądeczczyzny.

W ten sposób kończą się „grzeszne" i zbrojne sprawki Kazimierza Wielkiego w Ziemi Sądeckiej. Powstał umocniony i nawzajem ze sobą powiązany system grodów i miast królewskich.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI)

ANTONI KROH

EXEGI MONUMENTUM

Kościół w Kudłoniach jest po prostu brzydki.

Gdy patrzy się na niego od strony szosy, przede wszystkim zwraca uwagę dach, kryty blachą pomalowaną na obrzydliwy, jaskrawy czerwony kolor. Gdy wejdzie się do środka, gryzie w oczy bezstylowy ołtarz i zła polichromia, pseudozłocona, eklektyczna, a prawdę powiedziawszy — ordynarna.

Słowo może tu chę za mocne. Nie wypada tak przecież mówić o ołtarzu, do którego modli się cała wioskowa społeczność, a także wielu przyjezdnych, jako że nasza wieś jest znaną miejscowością letniskową. Ale co ja poradzę — za każdym razem, gdy wchodziłem do tego kościoła, wnętrze jego wywoływało we mnie zniecierpliwienie, robiło mi przykrość. Chodziłem do kościoła coraz niechętniej. Potem do tego zniecierpliwienia, do tej niechęci dorobiłem sobie łatwo ideologię i tak oto straciłem dużą część wiary. Szkoda, chociaż wygodniej.

W niedzielę zbiera się pod kościołem cała wieś. Gdyby znalazł się jakiś szaleniec, który by uparł się spalić tę świątynię, albo gdyby nagle postanowiono coś tu wybudować, a jakiś inżynier zmuszony byłby kościół zburzyć, cała wieś rzuciłaby się z pazurami, a sprawcę pobito by na śmierć. Jest nie do pomyślenia, by Kudłonie mogły się obyć bez swego kościoła.

Mało kto już pamięta, jak ten kościół powstał, kto i kiedy go zbudował. A pomyśleć, że zbudowano go bardzo niedawno, bo pod koniec lat dwudziestych, a obecny proboszcz jest dopiero trzecim z kolei.

Kościół jest dziełem rąk jednego człowieka. Wołali na niego Jędruś, chociaż miał już dobrze po czterdziestce. Był starym kawalerem, uczynnym, dobrotliwym dziwakiem, dobrym gospodarzem. Gdy postanowił zbudować kościół, nie było jeszcze w naszej wsi ani elektryczności, ani piekarni, ani domów wczasowych, ani nawet posterunku MO. Parafia była w sąsiedniej wiosce, w Plichtach. Ludzie chodzili co niedziela do Plichtów do kościoła, w Plichtach zawierano śluby, na plicheiańskim cmentarzu leżały całe pokolenia kudłoniaków. Nikt nie żałował nóg, nikomu kościół nie był za daleko.

Aż tu nagle rozeszła się wiadomość, że Jędruś sam, na własny koszt, na swoim gruncie, z drzewa ze swojego lasu, chce zbudować kościół.

Którejś nocy, jak się zdaje, przyśnił się Jędrusiowi jakiś święty i namówił go do tego. Przebudził się Jędruś rano, wstał, umył się, wdział portki i pojechał saniami do lasu. Ściął drzewo, załadował na sanie i przywiózł na plac. Pole miał akurat przy samej drodze, pośrodku wsi. Spore pole, w sam raz nadawało się na miejsce pod kościół.

— Co to, Jędrusiu, chałupę będziecie budować? — zagadywali przechodzący.

— Nie, kościół — wyjaśniał pogodnie

Nikt rzecz jasna w to nie wierzył, uważano go za przygłupa. Ale sterta „plażów" rosła z dnia na dzień.

Wreszcie można było stwierdzić już bez żadnej wątpliwości, że budulca jest coś za dużo, jak na jedną chałupę. Proboszcz dowiedział się o tym, wezwał Jędrusia na plebanię.

— Co, podobno kościół budujecie w Kudłoniach? — zagadnął i roześmiał się głośno, jak ze świetnego dowcipu. Cokolwiek za głośno

Jeszcze nie budują — odpowiedział Jędruś — dopiero budulec zwożę.

Księdza przeraził ten spokojny, gospodarski ton. Spojrzał na Jędrusia i dopiero w tym momencie uwierzył w niebezpieczeństwo. Zmienił ton na cierpliwy, ojcowski.

— A po co, Jędrzeju, kościół w Kudłoniach? Przecież jest w Plichtach.

— No jest, prawdę gadacie — przyznał Jędrzej — Ale w Kudłoniach nie ma.

— I podobno się wam święty ukazał we śnie?

— Ano, święty. Budować kazali, to i budują. Świętych trzeba słuchać.

— A skądże wiecie, że to był prawdziwy święty?

— A skąd ksiądz dobrodziej wiedzą, że to nie był prawdziwy święty?

— To co, myślicie w Kudłoniach zakładać nową parafię? — spytał zimno ksiądz.

— No, niby nie, gdzieżby ja, prosty człowiek. Ja tylko kościół zbuduję, bom budarz. Jak będzie kościół, to i parafia będzie. A jak nie, to choćby kaplica będzie, na mój rozum.

— Pomódlcie się do Boga o rozum, Jędrzeju, pomódlcie się gorąco — powiedział ksiądz.

— Ja się codziennie modlę, Jegomościu

Chwila milczenia.

— To ja już będę się brać. Zostańcie z Bogiem, Jegomościu — wymamrotał Jędruś, bezgranicznie zdumiony i nieco smutny. Pochylił się, by pocałować księdza w rękę. Proboszcz wyrwał rękę, schował za siebie. Jędrzej spojrzał mu w oczy, odwrócił się i wyszedł.

Następnego dnia rano zuważył, że w nocy skradziono mu ośnik, siekierę i piłę. Na jego progu ktoś się załatwił, gonty rozrzucone były po całym obejściu, a sterta płazów na placu budowy przegradzała wjazd. Kilku ludzi musiało ciężko nad tym pracować przez całą noc.

Ogrodził płotem parcelę, kupił złego psa. Na wielkich, granitowych peckach ustawił podwaliny.

Pojechał któregoś dnia do miasta po gwoździe. Gdy wrócił, płot był zwalony, a pies zdechły.

Postawił nowy płot, kupił nowego psa. Pracował po całych dniach, a strach mu ciągle stał za plecami i dyszał w kark. Spał na parceli, pod gołym niebem.

Gdy szedł przez wieś, nikt z nim nie rozmawiał. Spoglądano mu tylko w oczy. Do karczmy nie miał wstępu, zresztą i tak nie miał zwyczaju tam bywać.

(Pytałem starych budarzy, czy jeden człowiek może własnymi siłami zbudować kościół. Mówili, że to niemożliwe. Ale jest również niemożliwe, by starożytni Egipcjanie wybudowali swe piramidy. Naukowcy udowodnili niezbicie, że przy ówczesnej technice nie można było przetransportować i wydźwignąć w górę owych wielotonowych brył. Co do mnie, wierzę, że Jędruś zbudował kościół bez niczyjej pomocy — chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób to był uczynił.)

Gdy ściany stały już wysoko, przyjechał jakiś inżynier i spytał o plan. Jędruś nie rozumiał. Plan? No, planuję skończyć na wiosnę przyszłego roku.

— Ale ja was pytam o plan, projekt, no, o taki rysunek — niecierpliwie tłumaczył inżynier, który węszył jakąś aferę, bo czegoś takiego jeszcze w życiu nie widział

Jędruś uśmiechnął się, zadowolony z siebie.

— He, he, nie trza mi żadnych rysunków, panie! Ja mam cały kościół w głowie, ja go już widziałem, jak na tym polu jeszcze trawa rosła, co mi po rysunkach!

— No tak — odpowiedział inżynier — ale przepisy mówią, że musicie mieć projekt, podpisany przez architekta, inaczej zburzymy wam to wszystko i jeszcze grzywnę zapłacicie.

— Za co?

— A jak nie, to pójdziecie siedzieć.

Jędrzej był pewien, że to jakieś nieporozumienie.

— Panie — wyjaśniał powoli, z dobrodusznym uśmiechem, jak dziecku — pole moje. Drzewo moje. Robota moja. Ja więcej chałup zbudowałem, panoczku, jak wy macie lat i nikt nie pytał mnie o projekt.

— Co mi tu pleciecie trzy po trzy — zdenerwował się inżynier. — Nie przyniesiecie mi do starostwa w ciągu dwóch tygodni planu podpisanego przez architekta, to przyjadą nasi ludzie i rozwalą wam tę budę, a jak będziecie opór władzy stawiać, to pójdziecie do kozy.

Wybrał się Jędruś do hrabiego, dobrze znanego wszystkim w całej okolicy, do dworu, oddalonego od Kudłoniów o jakie czterdzieści kilometrów. Hrabia był dziwnym człowiekiem; wysłuchał Jędrzeja, po czym wsadził go w automobil i przyjechali do Kudłoniów. Obejrzeli budowę, hrabia zapytał o parę drobiazgów, wyrysował projekt, podpisał go i sam osobiście złożył w starostwie — z zawodu był bowiem hrabią, ale z wykształcenia architektem, studiował w Wiedniu.

Kościół nabrał kształtów jak dorastająca dziewczyna. Jędruś siedział na dachu i przybijał gonty. Nienawidzono go w całej wsi. Proboszcz poświęcił mu nawet całe kazanie. W ładnej formie było tam wszystko, do koloru do wyboru. Jędruś grzeszy pychą, bo twierdzi, że go nawiedziono. Jędrzej pokutuje, sporo musiał w młodości nagrzeszyć (tu akurat spudłował, bo Jędrus całe życie mieszkał w Kudłoniach i wszyscy go dobrze znali od dzieciaka). Wreszcie strzał najmocniejszy: kto wie, czy aby Jędrzej nie wyznaje po kryjomu kociej wiary i czy aby ten kościół, co go Jędruś buduje, na pewno będzie katolicki.

A kościół stał już pod dachem. Jędrzej rzeźbił figury, zrobił ołtarz, ambonę, ławki, feretrony, sluchanice. Chodził nocą dookoła kościoła, bał się, że go podpalą.

Różnie ludzie opowiadają, jak to było ze sprowadzeniem do Kudłoniów proboszcza. Podobno Jędrzej chodził kilka razy w tej sprawie do biskupa, nie mógł się przecisnąć przez dziesiątki drzwi, wystawał godzinami. Podobno złapał biskupa na ulicy, rzucił się przed nim na kolana, objął go za nogi i wołał, że nie puści, aż biskup obiecał mianować proboszcza.

Jedynym towarzyszem i wiernym przyjacielem Jędrusia był strach i poczucie samotności. Rozumiał doskonale, że namówić ludzi, by nie kradli, nie zabijali, nie cudzołożyli, czcili ojca swego i matkę swoją — jest praktycznie niemożliwe; natomiast podburzyć kogokolwiek, by w świętej sprawie skuł bliźniemu mordę, to jedna z najprostszych rzeczy na świecie. Rozumiał, że daje ludziom niebywałą okazję — będą mogli zniweczyć jego dzieło w imię szlachetnej idei. A ludzie ogromnie to lubią.

No i szukał Jędrzej księdza, by go namówić na kudłońskie probostwo.

Nasza wieś była wtedy mała i biedna, nikt się na probostwo nie kwapił. Wreszcie znalazł się kandydat ksiądz Markowski, człowiek o złej reputacji.

No i dopiął Jędrzej swego. Kościół konsekrowano, powstała nowa parafia.

Tylko że fundator nie miał wstępu do swego kościoła. Bo gdy ksiądz Markowski przybył, zobaczył dopiero, jakie palnął głupstwo. Fara chuda, a jeszcze do tego część wsi po staremu chodzi do Plichtów. Ale gorzej, że Jędrzej czuł się w kościele gospodarzem, traktował czasem proboszcza niby swego podwładnego, robił różne uwagi, krytykował, nie pozwalał niczego zmieniać.

Proboszczowi, rzecz jasna, szybko się to sprzykrzyło. Raz się posprzeczali, drugi raz, aż wreszcie ksiądz Markowski zaproponował funkcję kościelnego komu innemu. A gdy ksiądz na kazaniu powiedział coś uszczypliwego o rzeźbiarskim talencie Jędrzeja, rozeszli się na zawsze. Jędrzej chodził do kościoła w innej, dalekiej wsi — podobno ksiądz odmówił mu udzielania sakramentów.

Wreszcie zebrano pieniądze na nowy ołtarz. Dużą część kwoty zapłacili Kolo Kudłonian z Chicago. I któregoś dnia stało się tak, że zobaczył Jędrzej swoje rzeźby na kościelnym placyku, przygotowane do porąbania. Zabrał je i poustawiał na ganeczku swego domu w taki sposób, aby dzień i noc patrzyły na kościół, z którego je tak wyrzucono.

Jędrzej od tego czasu zaczął ciężko chorować, był coraz bardziej pochylony, zniedołężniały, przygłupi. Reumatyzm go pokręcił. Chodzić na nabożeństwa do dalekich kościołów już nie miał siły.

Nasza wieś szybko się rozwijała. Pojawili się letnicy, wykształceni panowie, zamiłowani w ludowym prymitywie. Święci, jeden po drugim, cichaczem opuszczali ganeczek, przeprowadzając się do Warszawy, Krakowa, Poznania. Kościółek był już od dawna za mały.

Wreszcie Jędrzej umarł. Ksiądz zgodził się, zresztą po długich błaganiach, pochować go na cmentarzu, w poświęconej ziemi. Spoczął więc Jędruś na polu, które sam ongiś Kościołowi ofiarował. Figury, co ich kościelny nie zdążył spalić, a letnicy rozkraść, schował ktoś na strychu domu parafialnego w instynktownym odruchu pietyzmu.

I tyle. Ale pozwolę sobie zwrócić uwagę, że jest to opowieść z optymistycznym zakończeniem oraz z morałem. Warto, by ludzie, którzy jak Jędrzej robią coś bez względu na okoliczności, samotnie, bez żadnej nadziei na zwykle chociażby, głupie zadowolenie ze swej roboty, którzy budują swój kościół, bo inaczej nie mogą, bo nie mają innego wyjścia — wiedzieli z całą pewnością, że nie minie ich wspaniała nagroda. Będzie nią śmierć, radosna, przynosząca ukojenie.

Stare Zakopane

Z archiwum
WŁADYSŁAWA WERNERA

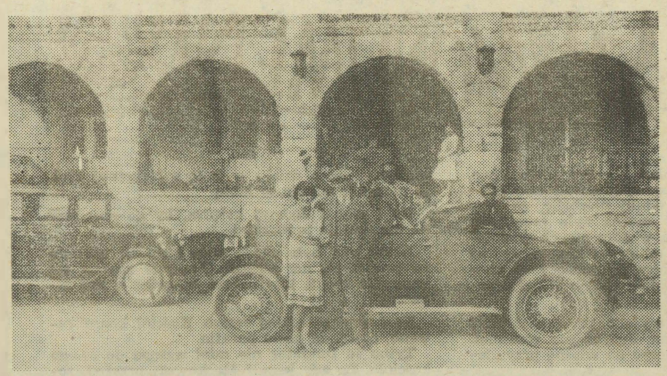

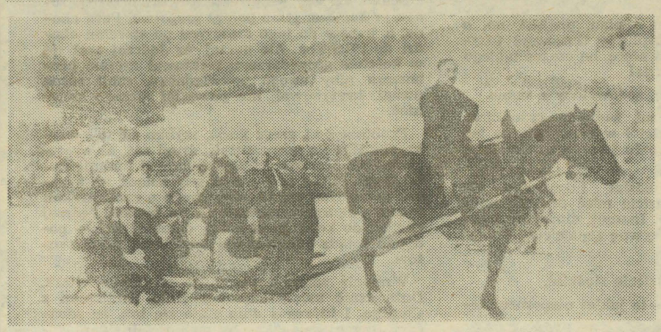

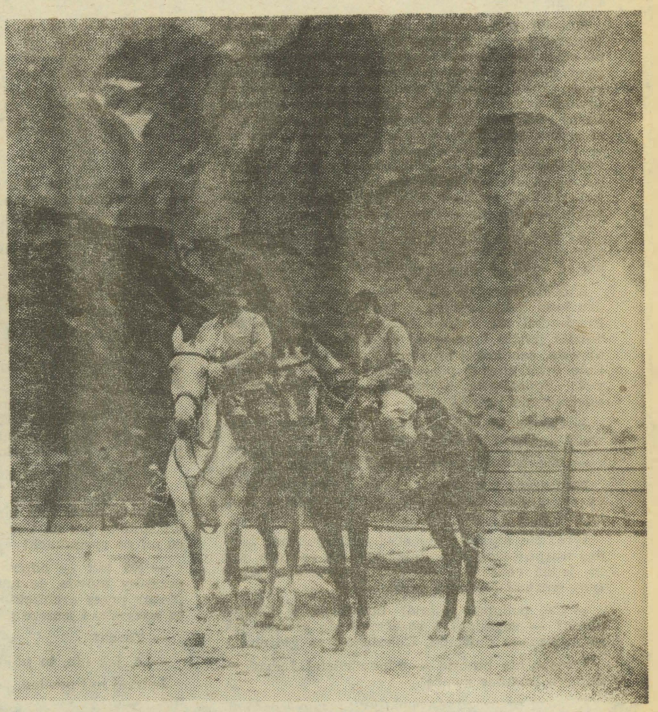

ROŻA DROJECKA

DALEKA PODRÓŻ

W roku 1870 pierwszy pleban Zakopanego, ks. Józef Stolarczyk, opuścił swoją wioskę na kilka miesięcy, udając się w daleką podróż. Była to pielgrzymka, gdyż głównymi punktami programu były Ziemia Święta i Rzym; ciekawy jednak świata pleban, wciąż pełen żywotności i energii mimo swych pięćdziesięciu trzech lat, zwiedził dodatkowo przy tej okazji ładny kawał świata. Trasa podróży ks. Stolarczyka jest imponująca. Wiodła ona przez Wiedeń do Triestu morzem do Aleksandrii i Kairu, dalej przez Kanał Sueski na Morze Czerwone i do Arabii, po czym z powrotem do Suezu i Port Saidu, następnie, również morzem, do Ziemi Świętej, gdzie ksiądz Stolarczyk zwiedza liczne miejscowości, wymienione w Starym i Nowym Testamencie — a przede wszystkim Jerozolimę, Betlejem, Nazaret i wiele innych. Następnie Damaszek, Bejrut, stamtąd morzem do Stambułu (zwiedzając po drodze rozsiane po morzu wyspy), ze Stambułu do Grecji, stąd do portu Brindisi we Włoszech; a po drodze szereg wysp: Cypr, Rodos, Lemnos i inne. W Italii Neapol i ruiny Pompei, Wenecja, Bolonia, Padwa i oczywiście Rzym, gdzie pleban ze wzruszeniem uczestniczy w błogosławieństwie papieskim (papieżem był wówczas Pius IX). Lecz w Rzymie, *„choć to miejsce święte i dla księdza przyjemne"*, odczuwa już wielką tęsknotę za ukochanym zakątkiem świata: małą wioską pod Tatrami, Zakopanem. Toteż niebawem znajdzie się w Wiedniu, skąd już stosunkowo niedaleko do domu, do schludnej plebanii, którą sobie niemal własnoręcznie postawił, do swego kwiatowego ogródka i dzikich, lecz bliskich sercu parafian, którzy już znacznie przez „jegomościa" obłaskawieni, wyjeżdżają mu naprzeciw z banderią i hucznym strzelaniem na wiwat.

Czwartego czerwca staje więc ksiądz Stolarczyk znowu w swym domu, do którego przybył, jak pisze w kronice parafialnej *„zdrowo, lubo sponiewierany"*, po czym dodaje: *„szczęśliwym się czuję, że byłem i widziałem nawet więcej jak pragnąłem. Nie żałuję ani mienia, ani zdrowia."*

O księdzu Stolarczyku pisano już wiele. Jest to postać nierozłącznie z historią dawnego Zakopanego związana, barwna, oryginalna i głęboko ludzka. Miał oczywiście ksiądz Stolarczyk swoje księżowskie narowy; próżno szukalibyśmy w nim jakichś rysów postępowości. Miał poszanowanie dla możnych tego świata i w głowie mu nie postało, by można było chcieć zmieniać istniejący porządek społeczny. Był zdania, że potrzeby Kościoła są w stosunku do biedy ludzkiej nadrzędne i w tragicznych latach głodu, na Podhalu potrafił ze składek parafian sprawić „pająk śklany" do kościoła lub organizować składkę na papieża. Ale niewątpliwie kochał swoich parafian, rozumiał ich tragedie i konflikty, współżył z nimi jak z rodziną. Nie był też człowiekiem krzątającym się wyłącznie koło kościoła i plebanii; był prawdziwym człowiekiem gór, wielkim taternikiem.

Przez cały czas pełnienia swych plebańskich funkcji, z wyjątkiem późnej starości, chodzi ksiądz Stolarczyk niezmordowanie po górach. Towarzyszą mu parafianie — górale, a także zaprzyjaźnieni księża, spośród których ze szczególnym sentymentem wspomina ks. Pleszowskiego, proboszcza z Bielan pod Kętami. Brał też ksiądz Stolarczyk niejednokrotnie udział w wycieczkach, organizowanych przez przyjezdnych miłośników gór, m. in. przez doktora Chałubińskiego, i poznał prawie wszystkich znakomitych turystów-taterników swego okresu. Był też przez nich wysoko oceniany jako świetny znawca gór i wytrawny taternik. Raz tylko spotkała go niemiła przygoda w zdra-

GENIALNY ORYGINAŁ

Przełom wieków XIX i XX miał wielkie znaczenie dla ogólnopolskiego życia kulturalnego. Narastała wówczas świadomość zbliżającego się wyzwolenia narodowego na gruzach państw zaborczych. Czasy te sprzyjały też góralszczyźnie, bo już wówczas istniała moda zajrzenia w ciągu roku choć jeden raz pod Tatry, a w Zakopanem, jako „stolicy kulturalnej" Polski pod zaborami, skupiała się twórcza inteligencja podnosząca wartości tego regionu do rangi narodowej.

Zakopane, jako punkt sezonowego stykania się ludzi ze wszystkich trzech zaborów, pozostawało pod stałą obserwacją nie tylko władz austriackich, ale i carskiej „ochrany", i wywiadu pruskiego. Czujność zaborców wzmogła się zwłaszcza od 1892 r., kiedy w Paryżu powstała Polska Partia Socjalistyczna, a jej działaczy nie brakło w modnym uzdrowisku. Obawy władz były uzasadnione, bo konspiracja polska przeniosła się z uzdrowisk zagranicznych do najmłodszego z „badów" — Zakopanego. Odbywały się tu różne zjazdy i organizowano spiski po rewolucji 1905 r. w Kongresówce, a tradycja Zakopanego jako miejscowości znakomitej dla celów konspiracji narodowej utrzymała się aż do wybuchu pierwszej wojny światowej w 1914 r.

Na taki grunt kulturalno-polityczny Zakopanego trafił pod koniec XIX w. niezwykły człowiek, budzący do dziś kontrowersyjne oceny. Był nim Jan Grzegorzewski, podróżnik, orientalista, etnograf i dziennikarz, a przy tym niecodzienny oryginał, o którego pochodzeniu wiadomo jedynie, że urodził się na Wołyniu. W Zakopanem Grzegorzewski rozwinął przede wszystkim działalność wydawniczą. Do owej pory ukazały się tu zaledwie trzy czasopisma, a Nowy Targ nie zanotował nawet jednego tytułu. Grzegorzewski od razu rozpoczął współpracę z wychodzącą w Zakopanem, „Gazetą Zakopiańską" z 1893 r., publikując w niej recenzje teatralne i koncertowe, ale — jak wspominał J. Zborowski w swej pracy „Z dziejów ruchu wydawniczego w Zakopanem do roku 1899" — *...silił się on w recenzji na dowcip, a swoją osobę przed występem literackim na raucie z talentem mocno reklamuje.* W roku następnym Grzegorzewski wydał w Zakopanem „rocznik tatrzaństwa" zatytułowany „Almanach Tatrzański", a także, w dwu edycjach — dla inteligencji i ludu — „Gońca Tatrzańskiego", współpracując tu z zasłużonym dla Tatr i Zakopanego Stanisławem Witkiewiczem. Jednak Witkiewicz mimo wszystko nie traktował go poważnie; z lekceważeniem odnosił się do niego również zasłużony historyk powstania chochołowskiego z 1846 r., Stanisław Radzikowski, zowiąc „orientalnym próżniakiem i chaotycznym łbem".

Grzegorzewski nie miał autorytetu u osób prywatnych, ale i władze chętnie robiły mu różne trudności, co zresztą usuwał swoim wpływem właściciel Zakopanego, Władysław Zamoyski, sam wydalony przez Prusaków ze swych poznańskich posiadłości w Kórniku i w dalszym ciągu przez nich śledzony. Podejrzenie u władz wzbudzały szczególnie odezwy i programy Grzegorzewskiego, które — choć niejasne — mogły ich zdaniem kryć w sobie niebezpieczną konspirację, hasło odrodzenia Polski przez góralszczyznę. Władze nieprzyjaźnie też oceniały jego **włóczenie się po** Wschodzie podburzonym przeciw Rosji przez Anglię, po Bałkanach. Śmiało się więc Zakopane z dziwactw założyciela „Gońca Tatrzańskiego", ale i z niepokoju władz austriackich nie mogących rozgryźć „zagadki Grzegorzewskiego". Kłopoty z władzami wyszły zresztą Grzegorzewskiemu na dobre, otoczył go nimb tajemniczości prześladowanego patrioty polskiego, a być może nawet emisariusza zakonspirowanego rządu polskiego, któremu powierzono tajną misję.

Ostatecznie działalność wydawnicza Grzegorzewskiego nie powiodła się, ale nie dawał on za wygraną: chciał działać, wydawać manifesty i szerzyć nowe idee, jak wspomina Zborowski *zawiłe i nielohiczne, jak on cały.* Poszerzył teraz swoją ideę „tatrzaństwa" o hasła i frazesy o demokracji i narodowej kulturze. Chciał ten regionalizm zaaplikować całej Polsce w celu jej odrodzenia narodowego. Program swój zawarł w memoriale, który obnosił, w istocie dla zdobycia pieniędzy na wznowienie „Gońca Tatrzańskiego", po pensjonatach przebrany w zmodyfikowany przez siebie strój góralski. Łatwo sobie wyobrazić, jaki popłoch musiał wzbudzać swym wyglądem, bo jak wspominał naoczny świadek tych wydarzeń, Jan Gwalbert Pawlikowski, w „Wierchach" z 1929 r. *...właścicielki pensjonatów pod obuchem tego mistycznego memoriału zastraszone i niepewne skupiły się jak spłoszone gęsi, cicho i żałośnie gęgając.* Nie rozumiały widać założeń, że *Tatry stać się mają źródłem odrodzenia narodowego i że stąd wyjdzie zmartwychwstanie Polski. Polska miała się zgóralszczyć począwszy od ducha a skończywszy na stroju.* Jak stwierdził Zborowski, *przyziemne paniusie nie doceniły nowej ery w duchowym i materialnym życiu narodu, jaką zwiastował czerwony trykot wciśnięty za góralskie portki.*

Niewątpliwie słuszne było nawoływanie Grzegorzewskiego o niezarzucanie stroju regionalnego, ale realizował to po swojemu: dziwacznie. Do tej pory strój ten noszony był przez przyjezdnych jedynie w czasie wycieczek górskich, a szył go w Zakopanem specjalnie dla nich Jan Sabała młodszy. Nikt jednak przed Grzegorzewskim nie paradował w nim po zakopiańskim deptaku czy składał wizyty towarzyskie. Dowcipkowano więc z tej maskarady, a karykatura z owych czasów z podpisem „Zakopane za 20 lat" przedstawia eleganta z miasta w pseudogóralskim stroju i w kamaszach, a górala, choć boso, lecz we fraku.

Na skutek fiaska swej działalności w Zakopanem, twórca „nowego stylu" zrzucił bukowe portki i wyjechał na Bałkany. Tam też pełnił swą zagadkową działalność, ale również założył polską stację naukową i uznawany był za wybitnego etnografa.

Ale i zakopiańska działalność Grzegorzewskiego skłaniać może, pomimo jego dziwactw, do refleksji. Bezspornie pozytywnym faktem jest jego pomysł i realizacja wydania ludowego pisma, jakim był „Goniec Tatrzański" w góralskiej edycji — jedyne tego rodzaju wydawnictwo aż do 1913 roku, kiedy powstała zasłużona później dla Podhala „Gazeta Zakopiańska". Idee tatrzaństwa jako skupienia całej góralszczyzny dla przyszłej wyzwolonej spod zaborów Polski realizowane były w wiele lat potem przez działaczy plebiscytowych na Orawie i Spiszu, a o utrzymanie stroju regionalnego do dziś stara się Związek Podhalan.

Czy więc idee Jana Grzegorzewskiego, z którego śmiano się jako z dziwaka, nie wyprzedziły w wielu wypadkach jego epoki?

EUGENIUSZ HALICKI

Z historii Podhala

Daniny w królewszczyźnie czorsztyńskiej

Wszystkie miejscowości wchodzące w skład starostwa czorsztyńskiego były zobowiązane — prócz płacenia czynszu i odrabiania pańszczyzny — do uiszczania danin. Ta ostatnia powinność była egzekwowana w naturze lub zamieniana na gotówkę. Należy zaznaczyć, że nie wszystkie wsie miały jednakowe daniny. Zależało to w głównej mierze od przywileju lokacyjnego i jego późniejszych zmian.

W zasadzie były dwa rodzaje danin: pierwsze — związane z tytułem posiadania gruntu, a drugie — wynikające z tytułu chowu zwierząt.

Wsie, które posiadały prawo polowania w lasach zagwarantowane przywilejem lokalizacyjnym (np. Huba, Krośnica, Tylka), uiszczały tzw. rogowe lub rugowe. Wysokość tego ciężaru była określana wyrokiem specjalnego sądu. Najczęściej były oddawane jarząbki w ilości 10—15 sztuk, niekiedy sarna lub lis. Często występowało zjawisko uiszczania daniny przez kilka miejscowości łącznie, o ile z jednej z nich na drodze działkowania osadniczego powstało kilka wsi. Danina ta często przybierała formę pieniężną; np. Huba w XVIII w. za jarząbki płaciła 70 tynfów górskich. We wsiach, gdzie istniało osadnictwo wojskowe, oddawano lisa. Miejscowości o wysokiej kulturze rolnej oddawały kapłony lub gęsi.

Drugą daniną związaną z ziemią była tzw. przędza czyli płótno. Na podstawie orzeczenia komisarzy sądowych z początków XVII wieku rolnicy i dawno osiadli zarębnicy oddawali 3 łokcie płótna tkanego z lnu natomiast nowoprzybyli zarębnicy 3 łokcie płótna tkanego z lnu dostarczonego przez starostę, a komornicy też 3 łokcie, lecz z przędzy lnianej dostarczonej przez starostwo. Ponadto starosta był zobowiązany dać komornikowi wyżywienie w czasie wykonywania tej pracy.

W niektórych miejscowościach istniała danina gontów. Wynosiła ona jedną lub dwie kopy gontów dostarczonych przez każdego poddanego.

Danina z tytułu posiadania zwierząt (a zwłaszcza owiec) początkowo odnosiła się tylko do Wołochów osiadłych na terenie dzisiejszej Ochotnicy, później rozciągnięto ją na inne wsie starostwa. Przyjmuje ona nazwę dani baraniej i jest płacona przez wszystkich poddanych posiadających owce lub kozy, nie wyłączając stosunkowo uprzywilejowanych sołtysów. Składały się na nią: właściwa dań barania (wynikająca z ilości hodowanych owiec), gunie i sery. Lustracja z roku 1765 określa tzw. dań baranią na 6 gr od każdej owcy. Ponadto ich właściciel co trzy lata był zobowiązany oddać od 100 sztuk tych zwierząt jednego trzyletniego barana, lub zapłacić jego wartość. Chłopi płacili też tzw. gunię w wysokości 50 gr. Można było oddać ją w naturze, a więc właśnie uprzędzoną z wełny. Poddani oddawali też ser lub twaróg owczy wartości 40 gr rocznie, lub taką ilość tych produktów, jaką się wyprodukuje z mleka uzyskanego z jednorazowego udoju 100 sztuk owiec.

Wszystkie te daniny były mniejsze niż w sąsiednich wsiach należących do królewszczyzny nowotarskiej, bądź też znajdujących się w prywatnych rękach.

RAJMUND BARTYZEL

KSIĘDZA STOLARCZYKA

dzieckich wapieniach Giewontu: wybrał się był samotnie na grań tego szczytu i znalazł się tam w trudnej sytuacji, gdyż *„zawisł na wysokości 5900 stóp z małą nadzieją ocalenia życia".* Trzeba było wołać o pomoc. Na szczęście wołanie usłyszeli juhasi z Kondratowej i z pomocą zabranego przytomnie sznura wyratowali swego jegomościa z opresji.

Ksiądz Stolarczyk rzeczywiście znał Tatry wszechstronnie; odbywał wejścia szczytowe w Tatrach Bielskich, Wysokich, Zachodnich. Był na wielu szczytach, których osiągnięcie przedstawiało wówczas bez porównania większe trudności niż obecnie i stanowiło nie lada wyczyn. Do granicy pastwisk można było natrafić jeszcze na strome i nikłe ścieżki juhaskie, wyżej — ani śladu szlaku, groźne ściany i granie, przeważnie niezdobyte, stanowiące wielką niewiadomą. Był ks. Stolarczyk m. in. na zachodnim wierzchołku Świnicy, jako pierwszy był na Lodowym, na Baranich Rogach, na przełęczy Międzyszowickiej, wreszcie — w roku 1874, a więc mając już 57 lat — osiągnął szczyt Gerlachu. W tymże roku, nieco wcześniej, (ksiądz Stolarczyk zdobył Gerlach we wrześniu) brał pieban udział w próbie wejścia na ten szczyt, organizowanej przez doktora Chałubińskiego. W zwycięskiej wyprawie we wrześniu towarzyszyli księdzu Stolarczykowi górale — Szymon Tatar i trzech Wojciechów: Giewont, Roj i Kościelny.

Człowiek tak zamiłowany w chodzeniu po górach nie mógł oczywiście nie skorzystać z okazji w czasie swej egzotycznej podróży. Jakżeby nie wyszedł w Ziemi Świętej np. na Górę Tabor, a we Włoszech na Wezuwiusz? Zaś w Egipcie choćby na piramidę Cheopsa? *„Wyszedłem na piramidę jako góral bez pomocy Arabów, których inni koniecznie potrzebowali"* — pisze.

Swoją daleką podróż odnotował ksiądz Stolarczyk w kronice parafialnej bardzo zwięźle — *„Byłoby wiele do opowiadania* — czytamy — *ale tego nie piszę, żeby się nie zdawało, że chcę o sobie coś dużego powiedzieć."* Niechby się i zdawało: mielibyśmy za to ileż ciekawych informacji, straconych bezpowrotnie przez tę niewczesną skromność. Czasem tylko wraca ksiądz Stolarczyk do tamtych wspomnień w swych (nielicznych zresztą) opisach wycieczek tatrzańskich, porównując inne widziane góry do Tatr, z którymi — oczywiście — równać się one nie mogą.

„Zwiedzając górę Tabor, byłem rzeczywiście widokiem z jej szczytu zachwycony — pisze ksiądz Stolarczyk — *muszę tu jednak nadmienić, że cały krajobraz przedstawił mi się w znacznie ścieśnionych ramach, bo jak wiadomo, góra Przemienienia Pańskiego jest znacznie niższą od Gerlachu".* O widoku z piramidy Cheopsa pisał: *„Ma ten widok wprawdzie pewien urok, ale oko pragnęłoby jeszcze czegoś więcej...; Że zaś powietrze nie bardzo przeźroczyste, więc już pod tym jednym względem wielka różnica w porównaniu do widoku z Gerlachu."* Zaś wrażenia z Wezuwiusza: *„Doznałem wprawdzie szczególniejszego wrażenia, lecz już w innym rodzaju, bo tutaj sąsiedztwo błękitnego morza i miasta wiele się do piękności przyczynia. Co się jednak samych gór dotyczy, to przyznać muszę otwarcie, że wolę nasze Tatry i przedkładam je nad wszelkie inne góry"*

We wspomnieniu pośmiertnym o księdzu Stolarczyku w roku 1894 (w rok po śmierci probostwa) pisał Kazimierz Tetmajer: *„Minął się" jak inni, i jak my „sie miniemy po malućkiej chwili", a równie jak Sabała i Chałubiński żyć będzie w tworzącej się nowej tradycji podtatrzańskiej."*

I rzeczywiście: postać księdza Stolarczyka pozostała związana z historią Zakopanego i dziejami zdobywania Tatr.

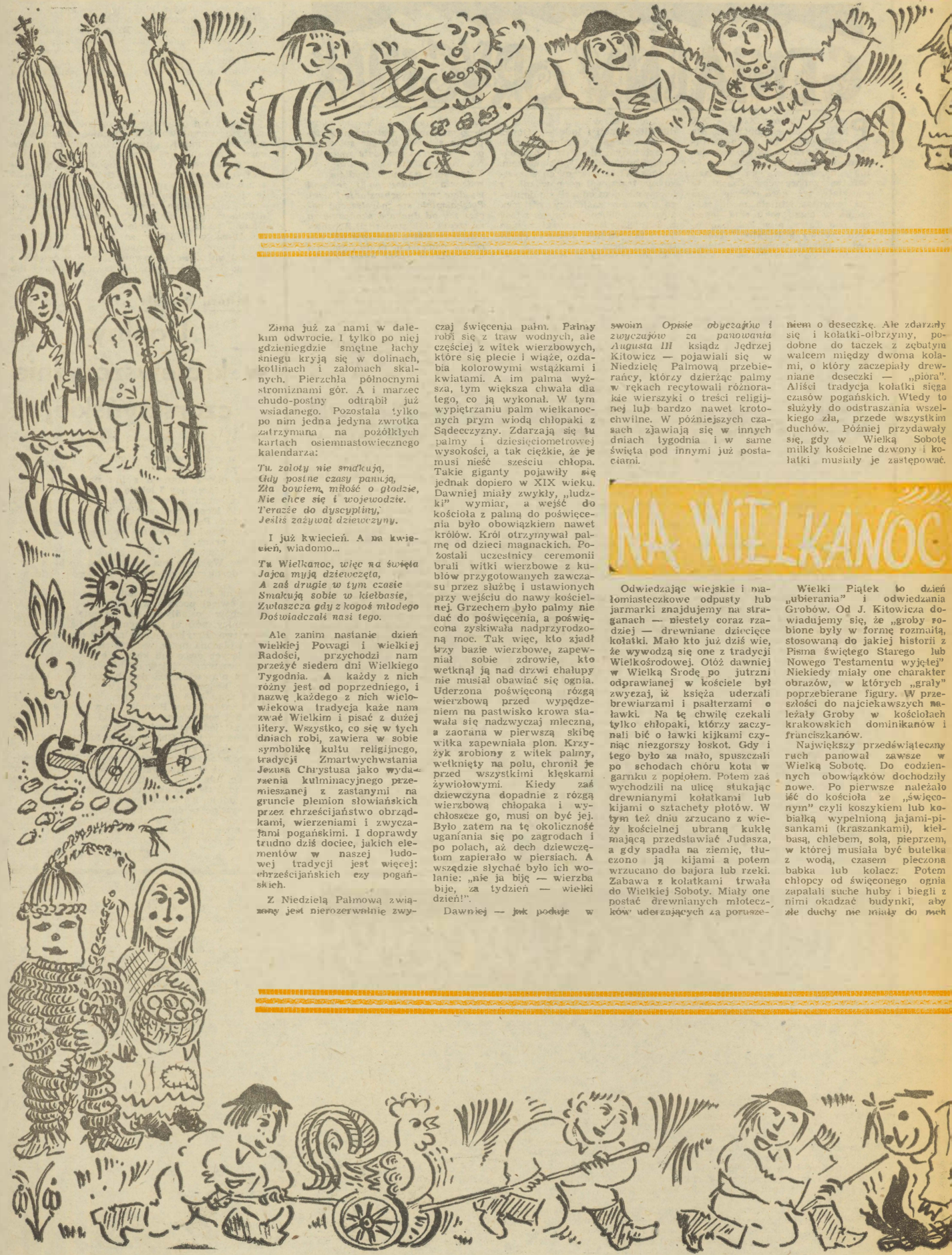

NA WIELKANOC

Zima już za nami w dalekim odwrocie. I tylko po niej gdzieniegdzie smętne łachy śniegu kryją się w dolinach, kotlinach i załomach skalnych. Pierzchła północnymi stromiznami gór. A i marzec chudo-postny odtrąbił już wsiadanego. Pozostała tylko po nim jedna jedyna zwrotka zatrzymana na pożółkłych kartach osiemnastowiecznego kalendarza:

Tu. zoloty nie smakują,
Gdy postne czasy panują,
Żła bowiem, miłość o głodzie,
Nie chce się i wojewodzie.
Teraźże do dyscypliny,
Jeśliś zażywał dziewczyny.

I już kwiecień. A na kwiecień, wiadomo...

Tu Wielkanoc, więc na święta
Jajca myją dziewczęta,
A zaś drugie w tym czasie
Smakują sobie w kiełbasie,
Zwłaszcza gdy z kogoś młodego
Doświadczali nasi tego.

Ale zanim nastanie dzień wielkiej Powagi i wielkiej Radości, przychodzi nam przeżyć siedem dni Wielkiego Tygodnia. A każdy z nich różny jest od poprzedniego, i nazwę każdego z nich wielowiekowa tradycja każe nam zwać Wielkim i pisać z dużej litery. Wszystko, co się w tych dniach robi, zawiera w sobie symbolikę kultu religijnego, tradycji Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa jako wydarzenia kulminacyjnego przemieszanej z zastanymi na gruncie plemion słowiańskich przez chrześcijaństwo obrządkami, wierzeniami i zwyczajami pogańskimi. I doprawdy trudno dziś dociec, jakich elementów w naszej ludowej tradycji jest więcej: chrześcijańskich czy pogańskich.

Z Niedzielą Palmową związany jest nierozerwalnie zwyczaj święcenia palm. Palmy robi się z traw wodnych, ale częściej z witek wierzbowych, które się plecie i wiąże, ozdabia kolorowymi wstążkami i kwiatami. A im palma wyższa, tym większa chwała dla tego, co ją wykonał. W tym wypiętrzaniu palm wielkanocnych prym wiodą chłopaki z Sądecczyzny. Zdarzają się tu palmy i dziesięciometrowej wysokości, a tak ciężkie, że je musi nieść sześciu chłopa. Takie giganty pojawiły się jednak dopiero w XIX wieku. Dawniej miały zwykły, „ludzki" wymiar, a wejść do kościoła z palmą do poświęcenia było obowiązkiem nawet królów. Król otrzymywał palmę od dzieci magnackich. Pozostali uczestnicy ceremonii brali witki wierzbowe z kubłów przygotowanych zawczasu przez służbę i ustawionych przy wejściu do nawy kościelnej. Grzechem było palmy nie dać do poświęcenia, a poświęcona zyskiwała nadprzyrodzoną moc. Tak więc, kto zjadł bazy bazie wierzbowe, zapewniał sobie zdrowie, kto wetknął ją nad drzwi chałupy nie musiał obawiać się ognia. Uderzona poświęconą rózgą wierzbową przed wypędzeniem na pastwisko krowa stawała się nadzwyczaj mleczna, a zaorana w pierwszą skibę witka zapewniała plon. Krzyżyk zrobiony z witek palmy, wetknięty na polu, chronił je przed wszystkimi klęskami żywiołowymi. Kiedy zaś dziewczyna dopadnie z rózgą wierzbową chłopaka i wychłoszcze go, musi on być jej. Było zatem na tę okoliczność uganiania się po zagrodach i po polach, aż dech dziewczętom zapierało w piersiach. A wszędzie słychać było ich wołanie: „nie ja biję — wierzba bije, za tydzień — wielki dzień!".

Dawniej — jak podaje w swoim *Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III* ksiądz Jędrzej Kitowicz — pojawiali się w Niedzielę Palmową przebierańcy, którzy dzierżąc palmy w rękach recytowali różnorakie wierszyki o treści religijnej lub bardzo nawet krotochwilne. W późniejszych czasach zjawiają się w innych dniach tygodnia i w same święta pod innymi już postaciami.

Odwiedzając wiejskie i małomiasteczkowe odpusty lub jarmarki znajdujemy na straganach — niestety coraz rzadziej — drewniane dziecięce kołatki. Mało kto już dziś wie, że wywodzą się one z tradycji Wielkośrodowej. Otóż dawniej w Wielką Środę po jutrzni odprawianej w kościele był zwyczaj, iż księża uderzali brewiarzami i psałterzami o ławki. Na tę chwilę czekali tylko chłopaki, którzy zaczynali bić o ławki kijkami czyniąc niezgorszy łoskot. Gdy i tego było za mało, spuszczali po schodach chóru kota w garnku z popiołem. Potem zaś wychodzili na ulicę stukając drewnianymi kołatkami lub kijami o sztachety płotów. W tym też dniu zrzucano z wieży kościelnej ubraną kuklę mającą przedstawiać Judasza, a gdy spadła na ziemię, tłuczono ją kijami a potem wrzucano do bajora lub rzeki. Zabawa z kołatkami trwała do Wielkiej Soboty. Miały one postać drewnianych młoteczków uderzających za poruszeniem o deseczkę. Ale zdarzały się i kołatki-olbrzymy, podobne do taczek z zębatym walcem między dwoma kołami, o który zaczepiały drewniane deseczki — „pióra". Aliści tradycja kołatki sięga czasów pogańskich. Wtedy to służyły do odstraszania wszelkiego zła, przede wszystkim duchów. Później przydawały się, gdy w Wielką Sobotę milkły kościelne dzwony i kołatki musiały je zastępować.

Wielki Piątek to dzień „ubierania" i odwiedzania Grobów. Od J. Kitowicza dowiadujemy się, że „groby robione były w formę rozmaitą, stosowaną do jakiej historii z Pisma świętego Starego lub Nowego Testamentu wyjętej" Niekiedy miały one charakter obrazów, w których „grały" poprzebierane figury. W przeszłości do najciekawszych należały Groby w kościołach krakowskich dominikanów i franciszkanów.

Największy przedświąteczny ruch panował zawsze w Wielką Sobotę. Do codziennych obowiązków dochodziły nowe. Po pierwsze należało iść do kościoła ze „święconym" czyli koszykiem lub kobiałką wypełnioną jajami-pisankami (kraszankami), kiełbasą, chlebem, solą, pieprzem, w której musiała być butelka z wodą, czasem pieczona babka lub kołacz. Potem chłopcy od święconego ognia zapalali suche huby i biegli z nimi okadzać budynki, aby złe duchy nie miały do nich

rzystępu. Święconą wodą po-wano pola przeciw zarazie i ięskom żywiołowym, skra-ano wszystkie kąty w domu. adownicy trzęśli drzewkami wocowymi, by dobrze rodzi-. Gospodynie siały rozsady. arobczaki i dziewczyny zaś, torym przejadł się już ostny żur, przystępowali do rzebania go zakupując w iemi lub rozbijając napełnio-e nim garnki gliniane i do ieszania śledzia.

Polakach zanotował: „bawili się panami swemi jak malowanymi jajkami". Okazuje się, że już wówczas był zwyczaj malowania jaj na Wielkanoc, ale i zabawiania się nimi, polegający na stukaniu o siebie pisankami przez grających. Ten, któremu „kraszanka" pękła oddawał ją przeciwnikowi.

Początkowo „kraszanki" były jednobarwne. Kolory uzyskiwano przez gotowanie jajek

NA WESOŁE...

W koszykach ze „święco-ym" obok pęt kiełbasy, chle-a, chrzanu i baranków z cia-a, cukru lub masła poczesne iejsce zajmowały pisanki-raszanki czyli malowane i dobione jajka. Symboliczna unkcja jajka jako nośnika ycia sięga niepamiętnych zasów. Malowano, zdobiono ja strusie już w starożyt-ym Egipcie, a także u daw-ych Słowian. W Egipcie jaj-o było symbolem boga słońca ta, w Grecji jednym z atry-utów Afrodyty. Nawet mity ndyjskie wyprowadzały po-ątek świata od wielkiego aja. U Słowian jajko było rzedmiotem kultu już w VI ieku. W średniowieczu jajko rze wkładano pod kamień ęgielny nowowznoszonego ościoła lub domu. W Polsce rzyjęła się tradycja malowa-ia jajek przed Wielkanocą, pierwsze znane nam „pisan-" pochodzą z X wieku ostrówek w Opolu). Wincen-y Kadłubek, nasz kronikarz przełomu XII na XIII wiek zając o współczesnych mu

w odpowiednich wywarach Najczęściej był to wywar z łusek cebuli. Otrzymywało się wówczas różne odcienie koloru żółtego. Barwę zieloną uzyskiwano z wywaru piołunu bylicy, dzikiego bzu lub sasanki; niebieską z płatków kwiatów bławatu; czarną z kory olchowej, dębowej i łupin orzecha włoskiego. Do każdego wywaru należało jednak dodać nieco ałunu. Potem przy pomocy wosku, słomek i wywarów zaczęto jaja zdobić w „pisanki" o przemyślnych rysunkach geometrycznych i roślinnych.

Święcone i pisane „jajo" miało dawniej wiele zastosowań. Przede wszystkim służyło do leczenia przeróżnych dolegliwości. W Polsce było pomocne w zalotach. Służyło do odstraszania złych duchów, do wróżenia, aż wreszcie jako środek „płatniczy" czyli fant lub okup. Jajkami się dzielono i obdzielano, a zawsze z życzeniami wszelkiej pomyślności.

Pierwszy dzień wielkanocny zawsze traktowany był jako święto wewnątrzrodzinne. A wszystko, co się w nim mieściło, określić możemy jako „Wielkie Żarcie". Dopiero w drugi dzień świąt, w „lany poniedziałek..."

Naukowiec powie, że „oblewanie się w drugi dzień Wielkanocy było pierwotnie zabiegiem magicznym, mającym na celu sprowadzenie deszczów na zasiane pola; wywodził się (śmigus) z rytualnej ablucji, dokonywanej podczas obrzędów poświęconych zmarłym. Z biegiem czasu przerodził się w zabawę". Była to zabawa polegająca na tym, że mężczyźni oblewali kobiety, chłopaki dziewczyny, i to całymi wiadrami. Bywało, że z braku innej możliwości dziewczynę wrzucano do koryta z wodą, do stawu lub potoku; jak był lód, to i do przerębli. A że któraś po tej zabawie nabawiła się zapalenia płuc? Że niekiedy od tej zabawy zmarła?... Nic to. Tradycja jest tradycją, zabawa zabawą.

Ale w świąteczny poniedziałek były i inne atrakcje. Na przykład w okolicy Limanowej, Rabki i Szczyrzyca chodziły po wsiach „Słomiaki" czyli „dziady śmigusne" — chłopacy poobwijani w słomiane powrósła, z „maskarami" na twarzach i słomianymi kołpakami na głowach. „Dziady" chodziły zazwyczaj z podobnie przebranymi „babami" i chodząc od domu do domu śpiewali:

Dajcie mi ziemiora dla mego bachora

albo

Wódeczko, wódeczko!
Obmyłaś kamienie, korzenie
Obmyj inne grzeszne
stworzenie.

Nagabywani w ten sposób musieli się okupić. A gdy ze skąpstwa nie chcieli, dostawało im się na ten sposób

Coś ty za gospodarz, coś za gospodyni,
Gdy u ciebie w spichlerzu, u tej pustki u skrzyni.
Trzeba by czas oboje dobrze przez grzbiet za to,
Żeście stracili jesień, zimę, lato.

Oprócz „Słomiaków", „Siudbab" i innych przebierańców, chodziły w święta wielkanocne również „Kurki dyngusowe". Były to nieraz i dwunastoosobowe grupy chłopaków z „komendantem", „kurcorzem", „skrzypistą" i „bębnistą". Najstarszy z nich ciągnął wózek z kogutem i poruszającymi się kukiełkami. Kiedy tacy kurcarze stawali przed chałupą, w której były dorosłe dziewczyny, „komendant" występował z orację:

O Maryjo, o Jezusie,
Przyśliśwa tu po dyngusie,
Przyśliśwa tu z gojśkiem,
Siedzi kura z jojkiem

po kilku ewy kilkunastu zwrotkach w tym guście wszyscy swoje śpiewy „kurcowe":

A i wy dziewuchy,
Złozta po ses grosy,
Puśćmy koguta
Do jakiej kokosy.

Gospodarze byli zobowiązani za te występy płacić. Gdy datki wydawały się gromadzie zbyt małe, zostawiali na zgryźliwą przyśpiewkę:

A gdzież to ta baba,
co jajeczko dała?
bodaj ona za to
z piekła nie wyjrzała.

I tak to od domu do domu szedł taniec i przyśpiewka. Szła tradycja. Niby teraz jeszcze spotkać się z nimi możemy w naszych wsiach i miasteczkach, ale brak im ich dawnego polotu i wigoru, osłabły nam pośród samochodów, telewizorów i tworzyw sztucznych. Oj, osłabły...

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI

JERZY KOTLARSKI

SĄDECZANIE NA MORZU

Wielu spośród największych Polaków żyjących morzem i dla morza pochodziło z głębi lądu: Arciszewski, Beniowski, Prot Potocki, Rylke, Potyrała, Maciejewicz, Borchardt, Petelenz, Korytowski, Pistel, Rymszewicz, Somnicki, Romanowski... Popatrzmy więc na tych, którzy dla morza porzucili góry – czasem gnani fantazją zbójnicką, hardą, zawadiacką która kazała im szukać przygód i życia daleko od stron rodzinnych, a czasem i zwyczajnie – „dla chleba, Panie, dla chleba..."

Bolesław Barbacki i Romuald Reguła pozostawili nam twarze i postacie ludzi Sądecczyzny pierwszej połowy XX wieku; Ciećkiewicz i Broszkiewicz – jej krajobrazy; Rzymek i Chór „Echo" – jej pieśni; Cholewa, Zubek, Śliwiński, „Sokół" i „Lachy" – jej folklor. Chwała im za to. Pokuśmy się więc i my o naszkicowanie sylwetek tych, co dla morza odeszli od stron ojczystych.

Władysław Salamon

Rodzina Salamonów pochodzi stąd, z Sądecczyzny — na sądeckich Wólkach przy ulicy Żeglarskiej — nomen omen! — istnieje do dzisiaj dom rodzinny Komandora

Urodził się w 1897 r. w Nowym Sączu. Tu spędził swoje dzieciństwo, tu ukończył szkołę podstawową — „ciuciubabkę", istniejącą do dzisiaj.

W 1916 r. został powołany do armii austriackiej i wcielony do oddziału saperów-elektryków w Wiedniu, a w październiku wysłany na front rosyjski w specjalnej jednostce saperskiej „El. Masch. 497". Zawędrował na front koło Kimpolung na Bukowinie w Rumunii, a następnie do Kołomyi. W październiku 1918 r., gdy Austro-Węgry się rozpadały, a jednostka saperska wracała do Wiednia, Władysław Salamon powrócił do Nowego Sącza, gdzie podjął pracę zawodową jako elektryk na PKP.

Już jednak w styczniu 1919 r. został powołany do Wojska Polskiego do Krakowa i wcielony do 6 pułku artylerii ciężkiej. Po przeszkoleniu odkomenderowano Salamona do Zbrojowni WP w Krakowie. Służbę wojskową pełnił uczęszczając równocześnie na wieczorowe kursy w Gimnazjum św. Anny w Krakowie, gdzie w 1922 r. uzyskał maturę humanistyczną.

W 1923 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Warszawie i w stopniu plutonowego podchorążego został skierowany jako ochotnik do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej w Toruniu; w 1925 r. wyszedł z niej w stopniu podporucznika Mar-Woju. Pływał na ORP „Wilia" — transportowcu wojennym, trawlerze ORP „Jaskółka", a w czerwcu 1926 r. został odkomenderowany do Flotylli Pińskiej w stopniu porucznika Mar-Woju jako oficer flagowy dowódcy Flotylli. Był ceniony za swą pilność, wytrwałość, pracowitość i służbistość. W październiku 1926 r. Władysław Salamon został skierowany na szkolenie do Francji, na francuski krążownik szkolny „Jeanne • d'Arc" Do kraju powrócił w czerwcu 1927 r Jego zdolności i wiedza były potrzebne dla szkolenia następnych roczników oficerów Mar-Woju. Służył do 1929 r. jako oficer kursowy w szkole Marynarki Wojennej w Toruniu, odbywając w tym czasie rejsy szkoleniowe na żaglowym, szkolnym okręcie Mar-Woju „Iskra".

Nowe potrzeby Polskiej Marynarki Wojennej wymagały nowych specjalistów. W 1929 r. Salamona skierowano więc na Oficerski Kurs Podwodnego Pływania do Tulonu we Francji; ukończył go w czerwcu 1930 r. Jako specjalista — oficer broni podwodnej — został skierowany jako załoga na budowę łodzi podwodnej ORP „Wilk" do Le Havre we Francji. Do kraju wrócił wraz z „Wilkiem" i pełnił na nim służbę do grudnia 1934 r.

W 1935 r. awansowano Władysława Salamona do stopnia kapitana Mar-Woju. Podjął wówczas służbę w Kierownictwie Mar-Woju w Warszawie jako kierownik szkolenia. Po ponownym awansie do stopnia komandora podporucznika, latem 1936 r. objął dowództwo ORP „Wilk". W dwa i pół roku później został mianowany dowódcą budowanej w Holandii we Vlissingeu łodzi podwodnej ORP „Sęp" i udał się tam, by nadzorować budowę. W maju 1939 r. ORP „Sęp" — jedna z najnowocześniejszych ówczesnych łodzi podwodnych świata — rozpoczął w Gdyni swą służbę Polsce.

Wybuch II wojny światowej zastał ORP „Sęp" w Porcie Wojennym na Helu. O godz. 5.00 „Sęp" wyszedł do wyznaczonego sektora przed Rozewiem. 2 września zaatakował patrolujący kontrtorpedowiec niemiecki typu „Leberecht Maas" z odległości 400 m z rufowej wyrzutni torpedą. Niestety, Niemcowi udało się uniknąć trafienia i zaatakował „Sępa" bombami głębinowymi. Ten kontratak trwał od godz. 12.32 do 20.00 i dopiero gdy wypłynęło oderwane wybuchem bomby koło ratunkowe z mostku ORP „Sęp", Niemcy uznali, że łódź podwodna została zniszczona. „Sęp" jednak był tylko uszkodzony: przez prawy tłumik silnika następował przeciek do środka. Polskie dowództwo wydało rozkaz, by „Sęp" pozostał na morzu, gdyż wejście do Portu na Helu było niemożliwe ze względu na ciągłe bombardowania; gdyby uszkodzenia uniemożliwiły „Sępowi" przedzieranie się do Anglii, należało wejść do portu szwedzkiego. 17 września, po wyczerpaniu wszelkich możliwości prowadzenia dalszej walki, ORP „Sęp"

Danuta Binek

Amatorzy

Powody są różne: czasem namowa kolegów, kiedy indziej zła atmosfera w domu rodzinnym. Najczęściej jednak zaczynają ludzie, którzy zostali w swoim własnym odczuciu czegoś pozbawieni. Poczucia bezpieczeństwa w rodzinie, w społeczeństwie, sukcesu i perspektyw. Narkotyki w pierwszym stadium są od tego wszystkiego ucieczką, potem przemijają wspaniałe doznania a pozostaje tylko konieczność brania. Już po miesiącu może pojawić się „głód"...

„Każdy dzień wygląda tak: przebudzenie — straszne, jestem na głodzie, wszystko boli, stawy, kości, ból wykręca kończyny, żołądek skacze, zbiera mi się na wymioty, ale nie mam czym wymiotować, latają źrenice. Pierwsza myśl: walnąć działkę. Działka to jeden centymetr heroiny. Biorę pompkę, znaczy strzykawkę, nabieram centymetr i zaczyna się rozpacz: nie mogę wkłuć się w żyłę, niech pani spojrzy, jaki ja pokuty. Ręce drżą, a ja nie mogę znaleźć żyły. W końcu się wkłuwam, kładę się i czekam. Czuję jak to się we mnie rozchodzi, takie uderzenie, które dociera do czaszki. Wracam do normy, ustaje ból, uspokajam się, oddycham normalnie. Wstaję, mogę się umyć, ubrać, coś zjeść".

„W momencie, kiedy zaczyna się ćpać, wszystko inne pozostaje z boku. Problemy zamiast się rozwiązywać, nawarstwiają się, bo nie są już ważne. Zostaje tylko narkotyk. Staje się codzienną modlitwą, a życie jednym wielkim ciągiem, pogoni za nim...".

Narkomania w naszym kraju przechodziła kilka etapów. Początkowo używano klasycznych środków odurzających: morfina, opium. Przede wszystkim dlatego, że dostępne były w każdej aptece i wydawano je na zwykłe recepty. Ampułka morfiny kupiona w aptece kosztowała... 1.50, natomiast na „czarnym rynku" jej cena była dwustukrotnie większa. Zaczęto więc masowo fałszować recepty. Trwało to do czasu, aż na wniosek MO wprowadzono na terenie kraju nowy rodzaj „różowych" recept i ograniczono liczbę aptek sprzedających środki odurzające.

Wraz z odcięciem dostępu do morfiny, rozpoczęło się więc gorączkowe poszukiwanie półśrodków. Na początku były to środki czyszczące, w tym popularny TRI. Sięgnięto także po chloroform i eter.

Następnie w obiegu pojawiły się parakopany, psychedryny; astmosany, pyrrolamidole, barbiturany itp. Trwało to tak długo, aż wreszcie rozpoczęto własną produkcję narkotyków — głównie z maku.

„Hera", którą produkują narkomani, jest mocniejszym środkiem niż czysta apteczna morfina. Do sporządzenia tej brązowej cieczy używa się obok maku również całej masy wysoko stężonych specyfików chemicznych, które powodują „podniesienie jakości" narkotyku, lecz zarazem pozostawiają w nim niebezpieczny dla organizmu osad.

Na marginesie warto sobie uświadomić, w jaki sposób szeroka masa narkomanów posiadła umiejętność produkcji narkotyków. Otóż... przyczyniły się do tego szeroko kolportowane publikacje naukowe zawierające dokładne recepty oraz wskazówki i konsultacje samych chemików. Zrazu może się to wydać nieprawdopodobne, ale niestety jest prawdą.

W województwie nowosądeckim narkomania nie jest jeszcze zjawiskiem dużym, ale — zdaniem specjalistów — wykazuje niebezpieczną tendencję zwyżkową, szczególnie od 1980 roku. Turystyczny charakter województwa sprawia, że co roku — zwłaszcza w lecie — przyjeżdżają tu ludzie z całej Polski. Dwukrotnie usiłowano zorganizować na naszym terenie zloty hippisowskie, które uniemożliwiła interwencja MO.

Mamy zarejestrowanych pięćdziesięciu jeden stałych narkomanów, z których dziewięciu znajduje się pod ciągłą opieką lekarską, a ilość tzw. „okazjonalnych" zwolenników środków odurzających ocenia się na czterysta osób. Centrami narkomanów są przede wszystkim Zakopane, Nowy Sącz, Nowy Targ, dopiero w dalszej kolejności Krynica i Rabka. W ubiegłym roku w lecie zmarł w sądeckim szpitalu z powodu przedawkowania narkotyku młody, dwudziestojednoletni mężczyzna. Jego kolegę ledwo odratowano, znajduje się on obecnie pod kontrolą. Prawie cztery lata temu nasi milicjanci zanotowali na swoim koncie duży sukces: wykryto ośrodek (na całą Polskę) fałszerzy recept na środki odurzające. Niestety, nadal jeszcze zdarzają się recepty fałszywe, funkcjonariusze odbierają strzykawki, a liczba narkomanów wzrasta...

W skali kraju jest to już poważne zjawisko, któremu trzeba jak najszybciej przeciwdziałać. Oblicza się, że obecnie wielotysięczna grupa młodzieży wymaga intensywnego leczenia odwykowego. Niestety, profilaktyka i leczenie narkomanów znajduje się w Polsce zabiedzie w powijakach, zresztą kraje z większą „tradycją" również słabo sobie z tym radzą. A tymczasem groźna zabawa w narkomanię z reguły zaczyna się już w ostatnich klasach szkół podstawowych lub ponadpodstawowych. Na początku jest to tylko butapren, a później...

„Kiedyś trafiłem do pewnego starego narkomana. Mieszkał w czymś, co było mieszaniną szałasu i ziemianki. W środku był jeden wielki borłóg, na którym leżało skłębione ciało — właśnie on. Stan, w jakim się znajdował, trudno nazwać człowieczeństwem. On już chyba nie potrafił myśleć i czegokolwiek odczuwać poza głodem narkotycznym. Nie mógł się stamtąd podnieść, załatwiał się pod siebie. Nie jadł i nie reagował na jakiekolwiek bodźce. Od czasu do czasu wydawał jakiś skowyt, jakiś głuchy jęk. Ludzie codziennie donosili mu świń-

wszedł do Landsortu, zaś 18 września przeszedł do Vaxholmu i wobec niemożności usunięcia uszkodzeń w ciągu 24 godzin został przez władze szwedzkie internowany.

Wkrótce w szwedzkich portach internowano również ORP „Ryś" i ORP „Żbik". Władysław Salamon jako najstarszy stopniem oficer objął dowództwo internowanych łodzi podwodnych; sprawował je do października 1945 r.

Nie był to łatwy okres w życiu Komandora, ale przeszedł go z honorem, a w październiku 1945 r. przyprowadził dywizjon łodzi podwodnych do Gdyni. Tu mianowano go komandorem porucznikiem i dowódcą tego dywizjonu, a w 1948 r. został komendantem Portu Wojennego na Oksywiu.

Nadszedł rok 1949. Komandor musiał w grudniu 1949 r. odejść z Mar-Woju. Pozostał jednak do dzisiaj człowiekiem morza. Pracował w Gdańskim Urzędzie Morskim jako kierownik taboru pływającego, ale w kwietniu 1952 r. i stamtąd musiał odejść, potem był robotnikiem przy złomowaniu wraku pancernika „Gneisenau" tarasującego wejście do portu w Gdyni, a następnie w odlewni „Żeliwiak" w Oliwie.

Rok 1956 pozwolił znaleźć Komandorowi odpowiedniejsze pole działania. Do czasu przejścia na emeryturę w 1963 r. Władysław Salamon był starszym inspektorem ds. sprzętu nawigacyjnego w Polskim Rejestrze Statków i kierownikiem Stacji Badań tego sprzętu w Gdańsku. Ale nawet po odejściu na emeryturę pracował w Ośrodku Normalizacji Ministerstwa Żeglugi, był przedstawicielem Ministra Żeglugi w Izbie Morskiej w Gdyni, wreszcie pracował dorywczo jako dewiator na statkach. Jego siły zawodowe ciągle były niespożyte. Pracę zawodową zakończył dopiero w 80 roku życia. Do dnia dzisiejszego czynnie działa jako yachtsmen w Jachtklubie Polskim w Gdyni, jest członkiem honorowym Polskiego Związku Żeglarskiego, sędzią klasy państwowej w żeglarstwie, działa w Klubie Seniorów Polskiego Rejestru Statków. Treścią jego życia była służba dla Rzeczypospolitej. Za swe zasługi dla niej był wielokrotnie wyróżniany i odznaczany — przed drugą wojną światową między innymi medalami: „Odzyskania Niepodległości" i „Za długoletnią służbę", zaś przez Polskę Ludową „Krzyżem Grunwaldu" III klasy, „Odznaką Grunwaldu", „Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski", medalami: „Za Zwycięstwo i Wolność", „Za Odrę, Nysę i Bałtyk", „Odznaką Zasłużonego Pracownika Morza" „Odznaką Mar-Woju" I klasy — Okręty podwodne, „Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju", wreszcie — brązową odznaką „Zasłużony dla Polskiego Rejestru Statków".

Gdzie był, gdzie pracował, gdzie działał — wszędzie znalazł uznanie i szacunek, wszędzie był człowiekiem morza.

Czy Santa Cruz przyniesie szczęście „BIAŁO-CZERWONYM"?

Prawie osiem lat minęło od wielkiego sukcesu polskiego futbolu na mistrzostwach świata — 74 w RFN, a nazwa hotelu „Sonne Post" i małego miasteczka koło Stutgartu — Murrhardt, wciąż są bliskie sympatykom sportu w naszym kraju. To tam przygotowywała się reprezentacja polskich piłkarzy do zwycięskich meczów z Argentyną, Haiti, Włochami, do znakomitej passy uwieńczonej medalem.

Podczas finałów „Espana-82" rolę „Sonne Post" spełniać ma hotel „Porto Cobe". Miejscem pobytu naszej ekipy będzie miasteczko Santa Cruz, będące dzielnicą La Coruny, największego miasta hiszpańskiej prowincji, Galicji.

Dwa kroki do morza

Specjalni wysłannicy Polskiego Związku Piłki Nożnej przejechali Galicję wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu właściwego lokum dla reprezentacji Polski... Od warunków mieszkaniowych zależy bowiem wiele. W okresie mistrzostw konieczny jest spokój, względna separacja od turystów i kibiców, możliwość relaksu, odpoczynku, ale także treningu i odnowy biologicznej. Korzystną okolicznością jest także stosunkowo niewielka odległość od stadionów, na których rozgrywane będą mecze.

Działacze PZPN byli w miasteczku La Toja koło Vigo, odwiedzili „Eurohotel" w La Coruna, aż w końcu wybrali Santa Cruz i hotel „Porto Cobe". To miejsce i ta kwatera w największym bowiem stopniu spełniają konieczne warunki dla piłkarskiej bazy.

Santa Cruz oddalony jest od centrum La Coruny o 9 km, a od stadionu „Riazor" gdzie Polacy zmierzą się z Kamerunem i Peru, o niespełna 11 km. Hotelik jest niewielki, kameralny, liczy 100 miejsc noclegowych, posiada saunę i basen. Położony o dwa kroki od brzegu morza, nad niewielką zatoką Cobe, posiada wiele zalet, jako kwatera piłkarzy.

Zamiast palm... swojskie brzozy!

Hiszpania kojarzy nam się z palącym skwarem, śródziemnomorską roślinnością, cytrusowymi owocami. W Galicji zamiast palm rosną brzozy, zamiast cytrusowych gajów — zielone lasy, jakby przeniesione z naszego Mazowsza. Bo i klimat w Galicji przypomina bardziej polski niż południowo-hiszpański. Latem temperatura nie przekracza zwykle 25 stopni, deszcz pada często, ale równie często świeci słońce.

Dla piłkarzy więc Galicja to w Hiszpanii kraina wymarzona. Zwłaszcza dla drużyn z północnych rejonów Europy, niezwykłym grać przy 40-stopniowych upałach, w słonecznym skwarze. W Vigo czy La Coruna oddziaływanie morza na klimat jest odczuwalne. Łatwiej tu żyć, łatwiej pracować, a także grać. Nie trzeba w godzinach południowych umykać do klimatyzowanych pomieszczeń lub pławić się bez przerwy w morskich falach. Można trenować i za dnia, można też rozgrywać mecze nawet w południe.

Vigo i La Coruna

Mieszkać będą polscy piłkarze w La Coruna, ale pierwszy mecz — 14 czerwca rozegrają w Vigo. Ich

rywalem będzie drużyna Włoch. Z La Coruny do Vigo jedzie się ok. 2,5 godziny autokarem, bowiem odległość między miastami przekracza 120 km. Taki wypad nie będzie więc problemem, zwłaszcza, że w Vigo zarezerwowano dla Polaków tymczasowe lokum na ewentualny nocleg, czy też krótki odpoczynek.

Do Vigo udadzą się więc nasi piłkarze w przeddzień meczu z Włochami, lub rano w dniu spotkania, które rozpocznie się na stadionie „Balaidos" o godz. 17.15 czasu miejscowego. O tej samej porze wyznaczono początek dwóch następnych pojedynków „biało-czerwonych" z Kamerunem (19 czerwca) i Peru (22 czerwca), na stadionie „Riazor" w La Coruna. Drużyny występujące na południu Hiszpanii grać będą później, o 21.00, bowiem za dnia ze względu na upał nikt nie wytrzymałby na stadionie.

Vigo liczy ok. 200 tysięcy mieszkańców, jest rybackim portem i wielką wytwórnią morskich bogactw. La Coruna to miasto większe, prawie milionowe. Jest znaczącym portem od setek lat. Mniejsze Vigo ma jednak większy stadion, liczący 50 tysięcy miejsc. W La Coruna arena mistrzowskich gier — „Riazor" może pomieścić 25 tysięcy kibiców. Obydwa obiekty są obecnie modernizowane.

Galicja czeka na Polaków

Polacy rzadko odwiedzają Galicję, toteż pobyt naszych piłkarzy w tej prowincji w czasie mistrzostw świata traktowany jest przez gospodarzy w wymiarze nie tylko sportowym. Komitety Organizacyjne mistrzostw w Vigo i La Coruna pragną zorganizować wystawy i ekspozycje poświęcone Polsce, przybliżyć nasz kraj mieszkańcom tych miast. Możemy więc liczyć na serdeczne przyjęcie i wszechstronną pomoc ze strony władz i mieszkańców La Coruny czy Vigo.

Drużyny piłkarskie Vigo czy La Coruny nie są krajowymi potentatami, a Galicja na hiszpańskim rynku piłkarskim nie odgrywa tej roli co Madryt, Barcelona, Bilbao czy Walencja. Ale może właśnie dlatego miejscowi działacze „stają na głowie", by udowodnić, że zasłużyli na zaszczyt goszczenia drużyn jednej z grup finałowych „Espana-82" i potrafią wywiązać się z postawionych im zadań.

W początkach czerwca br. reprezentacja polskich piłkarzy zamieszka w Santa Cruz, mając za sąsiadów piłkarzy Peru, którzy na miejsce pobytu wybrali sobie pensjonat „Pasa Marines". 22 km od La Coruny. Reprezentacja Kamerunu gościć będzie w stolicy Galicji, Santiago de Compostella, mniej więcej w połowie drogi między Vigo a La Coruna. Włosi natomiast, którzy wszystkie mecze rozgrywają w Vigo, przebywać będą w hotelu „Cosa du Baron" w oddalonym o 20 km od Vigo — mieście Pontevedra.

Która z tych kwater okaże się szczęśliwa dla swych mieszkańców? Angielscy bookmacherzy twierdzą, że „Porto Cordobe" i „Cosa du Baron".

Zobaczymy!

TOMASZ TRZCIŃSKI

„skrzydlatej pieśni"

stwo. On nawet nie potrafił sobie zrobić zastrzyku. W sumie nie było gdzie kłuć, zwitek kości i nerwów. Więc tak jak leżał, przez kosztulę, przez spodnie... Rozmawiałem z ludźmi, którzy donosili mu narkotyki; podobno w takim stanie był od czterech miesięcy. Leżał w szatasie przez całą zimę, a na wiosnę, kiedy stopniały śniegi wszędzie były kałuże i cholerna wilgoć. To było na przedmieściach Warszawy... Coś takiego może stać się z każdym, kto bierze. Z jednym wcześniej, z drugim trochę później, oczywiście jeśli nie przedawkuje, albo nie zdarzy się co innego".

Znawcy problematyki twierdzą, że każdy narkoman jest potencjalnym kandydatem na przestępcę, ponieważ „przyparty głodem" nie cofnie się przed żadnym krokiem, by zdobyć narkotyk. W państwach zachodnich istnieje ustawa, przewidująca darowanie kary narkomanowi-przestępcy, jeżeli zgodzi się on na leczenie. Czy i u nas nie zdałaby ona egzaminu?

Co zrobić w celu zahamowania wciąż postępującego procesu narkomanii w naszym kraju? Przede wszystkim należy skoordynować działania służby zdrowia, oświaty, organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Następnie — zdaniem psychologa klinicznego z Katolickiej Poradni dla Narkomanów w Warszawie, ks. dr Czesława Cekiery — *„Istnieje wielka potrzeba profilaktycznego dokształcania rodziców, a także personelu dydaktycznego w szkole. Wcześniejsze rozpoznanie narkomanii jest bowiem konieczne, aby przeciwdziałać nieprzewidzianym i niebezpiecznym sytuacjom, zwłaszcza w stanach halucynogennych. Jedna z moich pacjentek naćpała się parkopanu i miała urojenia, że cały dom i ją oblażą robaki. Nie mogąc ich pozabijać polała całe mieszkanie i siebie benzyną. Przed spaleniem uratowała ją w ostatniej chwili matka. Robaki, walcząca się ściana czy sufit, niesamowite monstra, to bardzo częste urojenia w stanach halucynogennych. Może dojść w trakcie ich trwania nawet do samobójstw — narkotyczne manie prześladowcze są bardzo silne".*

Szkoleniem warto objąć obok rodziców i nauczycieli także lekarzy i średni personel medyczny. W tym ostatnim przypadku chodzi o ściślejszą kontrolę recept i pieczątek oraz właściwego rozchodu narkotyków w szpitalach. Nie bez znaczenia jest także kontrola medycznych i chemicznych wydawnictw, w których nierzadko podaje się gotowe recepty do produkcji środków odurzających oraz zwrócenie większej uwagi na fabryki zajmujące się ich wytwarzaniem. Ważną sprawą jest również zmiana zasad kontraktacji maku i stworzenie bardziej dogodnych warunków współpracy plantatorów z Herbapolem. Te wszystkie działania mogłyby odciąć wiele kanałów, którymi zaopatrują się narkomani. A dalej? Dalej są już tylko ludzie, którym trzeba pomóc.

Mówią, że nie ma przyjaźni, ani miłości. Może dlatego, że subiektywnie — a tylko to jest ważne — czują się niedowartościowani. Szprycują się, by choć na kilka chwil wejść w inny świat, stać się „skrzydlatą pieśnią"... Potem znów narzekają i cierpią. Znów biorą i umierają...

Cytowane w tekście fragmenty pochodzą z artykułów Ewy Świderskiej „Buszujący w maku", Andrzeja Dudzińskiego „Wszystko do łyż" i Anity Bialic „Człowiek nie może być traktowany jako przedmiot".

„Czarownice — nie są to narodowe, rodzime wyobraźnią ukształcone postacie, ale są to kosmopolitki; nie w tym lub owym kraju urodzone i wychowane, ale spłodzone na drodze rozstajnej, pomiędzy światem doczesnym a wiecznym, z ojca wojującego Kościoła i z matki ciemnoty" — tak o kobietach, które posiadły umiejętność czarów i guseł, pisał Ryszard Berwiński, polski demonolog w połowie XIX wieku.

Podstawowa zasada doktrynalna średniowiecznych inkwizytorów głosiła, że Szatan dysponuje taką władzą, jakiej nie posiadają nawet „dobrzy aniołowie w niebie". Wiara w istnienie diabła i czarownic była nieodłączną częścią wiary katolickiej, stąd niedowiarstwo w tej sprawie równało się herezji. Najpoważniejszym narzędziem diabelskim, sługą i wspólniczką Szatana, jest kobieta, od czasów słynnego pisarza kościelnego Tertuliana uważana za „bramę piekieł", najszkodliwsza ze wszystkich dzikich bestii, twór z samej swej istoty przypadkowy i dwuznaczny. Źródłem czarostwa czarownic jest żądza cielesna, której kobieta poddaje się z radością i nadzieją; mężczyźni są chronieni przed niebezpieczeństwem przez fakt, iż Chrystus był mężczyzną. Kobiety z reguły odznaczają się słabszym charakterem i łatwiej ulegają wpływom diabła. Wystarczy przypomnieć Ewę, która w raju nie oparła się wężowi. Współcześni psychiatrzy uważają zasady Świętej Inkwizycji za rodzaj religijno-naukowej teorii uzasadniającej supremację mężczyzn, teorii, która usprawiedliwia i domaga się prześladowania kobiet jako członkiń piekielnego spisku.

Polskie czarownice zwane jagami lub babami jagami, wieźmami, jędzami i mamunami, cieszyły się o wiele większą tolerancją niż ich europejskie koleżanki. Ale nawet w tej Polsce, tak przecież wyrozumiałej dla innowierców i heretyków, w kraju [illegible] znajdowali schronienie uciekający przed inkwizycją, odbywały się — nieliczne co prawda — procesy czarownic. Ostatni w 1775 roku we wsi Doruchów na ziemi wieluńskiej. Spalono wówczas na stosie kilkanaście „wspólniczek Szatana". Było to jednak wydarzenie, które przebrało miarę cierpliwości współczesnych warstw oświeconych: w rok później uchwalono na sejmie ustawę, która zabroniła sądom rozpatrywać sprawy o czary i zakazała stosowania tortur. Ustawa ta znacznie wyprzedziła poczynania w tym zakresie krajów zachodnioeuropejskich.

Z jakich powodów kobiety zostawały czarownicami?

W opinii wiejskiej tłumaczono ten krok złymi skłonnościami, jakie zwykle już od kolebki wykazywały przyszłe czarownice. Częstym motywem była chęć zysku, bogactw, żądza zemsty na wiarołomnym kochanku, złym sąsiedzie. Aby sprowadzić diabła wystarczyło udać się o północy na rozstaje dróg i rozebrawszy się do naga wspiąć się na stojący tam krzyż. W 1665 roku pewna kobieta przyznała się przed sądem, że będąc niewinnie pobitą przez męża, miała na swoje nieszczęście odezwać się, że gdyby teraz przybyli do niej diabli, to by im się oddała. Czart niezwłocznie zjawił się i dokonał zaślubin.

W ludowej tradycji nie do każdej kobiety diabeł mógł przystąpić, by nakłonić ją do spółki: czarownicą nie mogła zostać kobieta urodzona we środę lub nosząca imię Marii. Można się domyśleć, że wiejscy prosboszczowie zwracali baczną uwagę na dewocyjny wydźwięk nadawanych imion. W procesach czarownic dzisiejsze Beaty, Danuty, Moniki i Sylwie stałyby na straconej pozycji. Najłatwiej jednak bies mógł się zbliżyć do Lucji i Janin, gdyż w noc św. Jana (24 czerwca) oraz św. Lucji (13 grudnia) odbywały się główne sabaty czarownic.

Etnografowie badający wsie w okolicy Łysej Góry potwierdzają żywe jeszcze ustne przekazy dotyczące tradycyjnych w tym miejscu sabatów. W czasie czarnej mszy zaplerano się Chrystusa przed ołtarzem, który stanowiło ciało najpiękniejszej diabelskiej kapłanki. Potem następowała uczta uwieńczona powszechną orgią. Na Łysą Górę czarownice przybywały wierzchem, w magiczny sposób wyprowadzając konie ze stajni któregoś z sąsiadów, mniej zamożne zadowalały się — krową lub nawet świnią. Spowodowane nieznaną chorobą boleści zwierząt tłumaczono ich nocną wędrówką na miejsce sabatów.

Czarownice poprzez czary ściągały choroby na [illegible] przeze, napuszczały na nie wilki, odbierały mleko i jaja, powodowały nieurodzaj, sprowadzały plagi robactwa i myszy. Szkodziły „na zdrowiu" odbierały powodzenie w miłości. W wiejskich browarach zdarzało się, że mimo przestrzegania wszystkich przepisów piwo psuło się, kwaśniało. Dziś wiemy, że zaburzenia fermentacji wynikały zapewne z użytkowania brudnych naczyń i złej wody. Natomiast jeszcze do pierwszej wojny światowej tłumaczono ten fakt czarami. Wierzono, że również zepsucie mleka jest dziełem złych duchów. Nic dziwnego, bydło dające mleko i stanowiące siłę pociągową decydowało o losie chłopa: pomór czy choroba krów była istną klęską dla gospodarza. Winą obarczano więc piekielne moce, co nieraz prowadziło do tragedii.

Przed dwudziestu laty w jednej z podhalańskich wsi owce na hali poczęły dawać krwawe mleko. Zebrani juhasi orzekli, że jest to wynik czarów. Sprowadzony baca, specjalista od magii, zapowiedział, że pierwszy człowiek, który zjawi się na hali, będzie tym, który zaczarował owce. Kiedy na halę po sery przybył góral z sąsiedniej wsi, zbito go niemiłosiernie i powieszono na gałęzi. Gdy zmarł wyjątkowa solidarność wsi góralskiej spowodowała że zbrodnię ukryto przed milicją.

W 1872 roku w galicyjskiej wsi Dżurkowie zrozpaczony długotrwałą posuchą wójt zarządził publiczne pławienie wszystkich kobiet, aby wyszukać domniemaną czarownicę, która sprowadziła tę klęskę. Na szczęście, interweniowały władze i zbyt energiczny przedstawiciel urzędu gminnego stanął przed sądem.

Jak rozpoznać czarownicę?

Oto niezawodny sposób: do maślnicy pełnej mleka wrzucić rozpalony do czerwoności kawałek żelaza. Kobieta, która pierwsza przyjdzie do chałupy jest właśnie tą, która odebrała krowom mleko. Zdarzyło się jednak, że wędrujący po wsi student polecił pewnej kobiecie, która się skarżyła, że jej „ciotv" odbierają mleko, zrobić o określonej porze masło, a wówczas pod okno nadejdzie czarownica. Jednocześnie innym białogłowom, które również skarżyły się na mleczne czary, poradził, aby o tej samej godzinie podpatrzyły przez okna sąsiadek, czy która z nich nie robi właśnie masła, gdyż w ten sposób rozpoznają czarownicę. Epilogiem tego dowcipu była iście piekielna awantura między sąsiadkami, nawzajem posądzającymi się o czary.

Oskar Kolberg w swej encyklopedii folkloru przytacza opowiadanie ludowe z terenu Kujaw. *„Pewna czarownica pod postacią gęsi wysiadywała w gnieździe na dębie jaja. Widziano ją przelatującą ze wsi do lasu. Strzelec pilnujący leśniczówki próbował do niej strzelać, ale kule się jej nie imały. Przekonany, że ma do czynienia z siłami nieczystymi, strzelec nabił swą strzelbę srebrnym guzikiem. Kula ta zraniła gęś w skrzydło. Zerwała się z gałęzi i spadła na sąsiednie pole. Zbliżywszy się do tego miejsca strzelec znalazł nie ptaka, lecz kobietę z krwawiącą ręką. Próbowała się ona tłumaczyć, że zraniła się sierpem, ale sierpa obok nie było. W gnieździe znaleziono trzy jaja, w jednym był deszcz, w drugim grad, a w trzecim krew, co miało oznaczać wojnę. Czarownica za przygotowanie takich klęsk została ośmiokrotnie rózgami".*

W tradycji ludowej, również cygańskiej — dziewczyny szukały u czarownic pomocy w celu pozyskania afektu ukochanego. Aby zyskać jego przychylność podsuwano im rozmaite receptury, na przykład, specjalnie przyrządzone serce zwierzęcia lub ptaka. Gdy w rodzinie dziedzica wybuchała sprzeczka małżeńska, dopatrywano się w tym złośliwych czarów czarownic. Niejedna chłopka poszła na stos pod zarzutem, że swymi czarami doprowadziła do rozbicia harmonii małżeńskiej. W 1679 roku sąd w Warcie skazał czarownicę Maruszę Nowaczkową, która „panu Walerianowi Kałowskiemu jest przyczyną rozłączenia małżeńskiego przez jej czary", Marusza „na stosie drew jako czarownica spalona była".

W 1950 (!) roku pewna kobieta z okolic Rawy opowiadała, że przyczyną rozwodu, były czary jej rywalki, klientki czarownicy z Końskich. Mąż wypił u rywalki wódkę o dziwnie ostrym smaku. Po przyjściu do domu skarżył się na złe samopoczucie i od tej chwili poczuł niechęć i obrzydzenie do swej małżonki. Nie pomogły „odczynienia" zasięgane przez miejscowe znachorki. Porzucona żona była najgłębiej przekonana, że przyczyną jej nieszczęścia są czary.

Przesąd o kobietach-czarownicach przetrwał do dziś, choć w szczątkowej postaci. Jeszcze w 1957 roku milicja ujęła sprawców zbrodniczego samosądu nad domniemaną czarownicą. Dwaj bracia [illegible] pewną kobietę, zadając jej czterdzieści ran kłutych, a następnie zwłoki zakopali w piwnicy. Zapytani o przyczyny ponurego przestępstwa, odpowiedzieli, że kobieta ta swymi czarami dorowadziła jednego z braci do choroby umysłowej. Domniemana ofiara czarów — pacjent szpitala psychiatrycznego, odgrażał się publicznie, że doprowadzi do zguby swą prześladowczynię, która „zadała" mu tak groźną chorobę. Wierzyła w to również i jego rodzina, a brat udzielił mu pomocy w wykonaniu wyroku na „czarownicy".

Czy tylko obłęd?

W czasie ciągnących się przez trzysta lat procesów o czary w Europie zgładzono kilkaset tysięcy osób, w większości kobiet; niektórzy historycy mówią o milionie, a nawet o paru milionach. Do polowań na czarownice powołano cały system prokuratorsko-śledczy i sądowniczy, a stada oficjalnych i prywatnych łapaczy przewalały się z miasta do miasta, ze wsi do wsi w poszukiwaniu ofiar, zbierając nagrody. Nie sposób redukować sens tych zbrodni tylko do indywidualnych i maniakalnych działań czy też zbiorowego obłędu, histerii.

Polowania na czarownice były kiedyś składnikiem ideologii politycznej. Zaspokajały potrzebę wiary, że istnieje źródło kataklizmów ognia, wody, wojny i mordu. Ludzie spoglądali na kobiety umierające w płomieniach, a potem szli do domów, pili wino, śpiewali, pracowali i kochali się. Wierzyli że na stosie płoną winowajczynie wszelkiego zła...

Procesy czarownic miały strategiczne cele. Stanowiły wymyślny kostium dla interesów politycznych: chodziło o zdobycie, bądź utrzymanie władzy. W grę wchodził zysk, splendor, zawiść, urazy osobiste i złość. Pod koniec XIV wieku wielka fala represji antyczarowniczych dotknęła okolice Augsburga. Łowcy czarownic działali z polecenia miejscowego księcia biskupa. Augsburg był bogatym miastem targowym, a im zamożniejszy, tym bardziej samodzielny, im bardziej samodzielny, tym zamożniejszy. Władca nie mógł pogodzić się z myślą, że miasto się odeń uniezależniło. Gdyby nie ta niezależność, to część zysków miasta zasilałaby jego kasę. Procesy rozpętane zrazu w pobliskich wsiach miały posłużyć jako środek zmiękczający zbytnią suwerenność augsburżan.

Jeden z najbardziej znanych procesów toczył się w Salem, w amerykańskim stanie Massachusetts. Jesienią 1691 roku do kuchni miejscowego plebana schodzą się nastolatki, aby wysłuchać tajemniczych opowieści Murzynki Tituby. Dziewczynki z wypiekami na twarzy śledzą historyjki o wyczynach diabła i jego lubieżnych sekretach. Jedna z nich nie wytrzymuje napięcia i zaczyna bredzić, że została nawiedzona przez czarta. Zbiorowa obsesja udziela się pozostałym koleżankom. Dziewczynki wyją i tarzają się po podłodze — nie tracąc przy tym przytomności. Wiedzą, że są ważne i staną się słynne. Są świadome, że posiadły ogromną władzę nad przerażonym światem dorosłych. Każde ich oskarżenie jest przyjmowane przez sędziów z powagą i ufnością. Z kolei dorośli zauważyli, że przy pomocy dzieci mogą rozliczyć się ze swymi przeciwnikami. Dzieci znów wiedzą, że stały się dorosłym potrzebne, a ich opętanie czyli przyjemna zabawa w donosy jest pod ochroną prawa (John Proctor ośmielił się powiedzieć, że jedynym lekarstwem na konwulsje panienek jest chłosta. Dziewczynki szybko przypomną sobie, że jego żona brała udział w sabatach). W polowaniu na czarownice ginie ponad dwadzieścia osób. Zaraza diabelska zaczyna się niebezpiecznie rozprzestrzeniać. Gubernator jest niezdecydowany aż do chwili, gdy dziewczęta z Salem oskarżyły jego żonę. Krok nierozważny, dowód pychy panienek i ich rodziców spowodował przerwanie łańcucha samosądów. Jakie były przyczyny tej zbiorowej histerii?

Historycy odpowiadają zgodnie: głębokim i ukrytym źródłem wydarzeń w Salem była frustracja miejscowej elity purytańskiej. Dawny census religijny zastąpiony został cenzusem majątkowym, co ograniczyło wpływy dominującego do tej pory Kościoła. Purytanie w każdej próbie ograniczenia dominacji Kościoła doszukiwali się śladów łapy diabelskiej. Ich świat zaczynał się kruszyć, na arenę historyczną wkraczała bowiem nowa warstwa — burżuazja. W takiej sytuacji przyszłość staje się niepewna, jest ciemną i straszną jamą, na dnie której, być może, czeka diabel.

Jak widać czarownice stają się pretekstem do walki o wpływy, o władzę. Cokolwiek zeznawały oskarżone, to i tak były uznawane za przedstawicielki piekieł. Czasem odwoływały swe konszachty z Szatanem, mówiły, że przyznanie wymuszono torturami. Cóż za brak wyobraźni! Następowała przerwa w procesie. Nazajutrz przyznawały się na nowo, przepraszając, że chciały złośliwie zaszkodzić sprawiedliwości. Mają odpychającą ziemistą twarz, ołowiane oczy i zbyt długie rękawy: nikt nie zobaczy, że ich palce pozbawione są paznokci.

Wizja świata zagrożonego przez czarownice lub inną zbrodniczą grupę powraca niejednokrotnie w historii ludzkości. Skonstruowana tak, że odpowiada na zapotrzebowanie społeczne: próbuje wytłumaczyć, że złowrogi spisek jest odpowiedzialny za wszelkie ludzkie krzywdy. Spełnia rolę ideowego uzasadnienia dla podjętych już prześladowań. Polowanie na czarownice, komunistyczne i reakcyjne, czarne i białe, materialistyczne i idealistyczne, proste i garbate wydaje się jednym z ważniejszych zajęć ludzkości w ciągu ostatnich dwudziestu wieków.

Fakty dotyczące polskich czarownic i ich zwyczajów zaczerpnęłam z arcyciekawej książki Bohdana Baranowskiego „W kręgu upiorów i wilkołaków" (Wydawnictwo Łódzkie — 1981 r.).

JERZY LEŚNIAK

CZAROWNICE

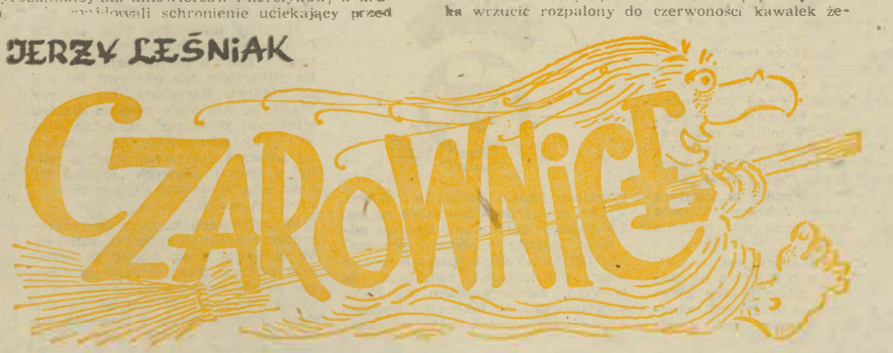

Nie taki diabeł straszny...

Diabeł udzielający rozwodu w rzeźbie Anny Padoł z Paszyna.
Fot. J. Gajda

Lubimy być straszeni. Tak, tak — nie da się tego ukryć. Niezwykłym powodzeniem w kinach i telewizji cieszą się wszystkie horrory, a im taki film bardziej naszpikowany złymi duchami, strzygami czy różnego rodzaju wampirami, tym większa frekwencja na widowni. Wśród przedszkolaków największą atrakcją są opowieści babci o czarownicach i smokach. W długie zimowe wieczory trzęsąc się ze strachu, mimo wszystko, proszą: — *jeszcze babciu, jeszcze trochę...*

Na czele wszystkich złych duchów stoi diabeł. Wiadomo, że jedynym lekarstwem na jego sztuczki są egzorcyzmy, również w cywilizowanych krajach Europy w drugiej połowie XX wieku. Nie żartuję. „W sierpniu 1976 roku prasa na całym świecie pod różnymi tytułami, a między innymi pod tytułem „Opętana przez złe moce" podała informacje o pozornie niesamowitej historii. Wyjątkowo pobożna katoliczka, studentka pedagogiki uniwersytetu w Würzburgu, w Republice Federalnej Niemiec, Annaliese Michel zmarła na skutek tego, że duchowni katoliccy stwierdziwszy, że chora na epilepsję dziewczyna opętana jest jakoby przez pięciu diabłów, zamiast pozwolić ją leczyć, przeprowadzili intensywne egzorcyzmy" — pisze znany polski demonolog, Bohdan Baranowski.

Żeby zakończyć tę ponurą historię: proboszcz Adolf Radewyk, „autorytet" w sprawach diabła, wyjaśnił w wywiadzie radiowym: — *Dziewczyna musiała umrzeć. Lekarze nie byli w stanie pomóc w czymkolwiek. Dopóki demony były w dziewczynie, medycyna nie miała tam nic do roboty.*

Diabeł diabłowi nierówny. Poszczególne narody chętnie widziały diabła w postaci niezbyt lubianego sąsiada. Diabeł angielski był chudym Francuzem, ugrzecznionym i gestykulującym. Na odwrot, diabeł francuski przybierał postać flegmatycznego dżentelmena. Wśród Europejczyków miał on przeważnie fizjonomię czarnego mieszkańca Afryki. Diabeł ludu polskiego często przybierał postać Niemca, posiadał rogi i ogon, końskie kopyta, czuć go było piekielną siarką i smołą. Choć zawsze zależało mu na zdobyciu duszy człowieczej, występował czasami w roli stróża sprawiedliwości i karał grzeszników. Płatał ludziom figle: wciągnął kogoś w błoto, zmylił drogę pijanemu, rozpędził handlarzowi kupione stado bydła, wrzucił wóz do rowu z wodą.

Ciekawe, że w wielu opowiadaniach ludowych występuje postać naiwnego i umysłowo ograniczonego diabła, którego w pole wyprowadzał wiejski sprytiarz. Przedstawiciel piekieł bywał niesłychanie łasy na pieć piękną, która niejeden raz okręcała go sobie wokół palca.

Bohdan Baranowski w książce „W kręgu upiorów i wilkołaków" podaje przykłady dziwnej dobrotliwości diabłów, którzy pomagają ludziom w pracy. Dość znane jest opowiadanie o wydarzeniu, jakie miało miejsce w Radomszczańskiem przed pierwszą wojną światową. Pewna kobieta poleciła mężowi kołysać dziecko. On, niezadowolony, miał się odezwać: — *Niech ci je diabeł zakołysze.* I oto przez trzy dni niewidzialny dla ludzkich oczu diabeł ustawicznie kołysał dziecko, aż dopiero interwencja księdza zmusiła go do ucieczki.

Lęk przed mocami piekielnymi ułatwiał rozmaitym cwaniaczkom działalność przestępczą. W 1946 roku prywatny handlarz z Łódzkiego kupował na lewo większe partie mąki. Załadowanie na samochód kilkudziesięciu worków w centralnym punkcie wsi nie było łatwe. Aby odstręczyć niepotrzebnych świadków straszono w przebraniu diabła samotnych przechodniów. Osada ogarnięta została prawdziwą histerią przed działaniem sił piekielnych. W latach pięćdziesiątych zaś szatan poważnie był zainteresowany sprawą zakładania spółdzielni produkcyjnych. Jakkolwiek wiara w siły nadprzyrodzone bardzo się w ostatnich latach zmniejszyła, to nadal nie brak naiwnych słuchaczy, szczególnie wśród starszego pokolenia, którzy historyjki z diabłem przyjmują zupełnie serio. Dość znamienny może tu być wypadek z okolic Łukowa. Wracający późnym wieczorem w 1955 roku mieszkaniec wsi zauważył dziwną postać w miejscu tradycyjnie nawiedzanym przez złe moce. Mimo zaklęć postać ta nie cofała się, lecz przeciwnie: zbliżała coraz bardziej. Przerażony chłop rzucił w zjawę siekierą i zabił człowieka niosącego na plecach wiązkę słomy. Prawdopodobnie była to ostatnia w Polsce ofiara wierzeń we wprowadzone przez chrześcijaństwo do naszej kultury diabły.

Wiara w diabła stanowi podstawowy dogmat religii chrześcijańskiej, co powagą swego zgromadzenia stwierdził sobór lateraneński. Diabeł dokucza ludziom już to wprost osobiście, już to przez oddanych sobie pomocników działających przy pomocy siły diabelskiej. Lista ich jest długa: zmory strzygonie, czarownice, nocnice, topielce, południce, latawce, planetnicy, wilkołaki, inkluzy, duchy leśne, ubożęta. Słowem, demony wszelkiej maści.

W okolicach Gorlic, w opowiadaniach ludowych, pojawiały się południce posiadające postać młodych dziewcząt. Miały one modre oczy i płowe włosy uwieńczone kłosami i bławatkami. Opowiadano, że jedną z południc została po śmierci chciwa wdowa, która za życia zaprzedała duszę diabłu, aby móc zagarnąć ziemię należącą się pasierbom. Po śmierci szatan darował jej częściowo piekielne męki, nakazał jednak pod postacią południcy męczyć i dusić ludzi, najczęściej odpoczywających na miedzy żniwiarzy.

Planetnicy, czyli demony sprowadzające chmury deszczowe i gradowe, znani byli między innymi na Podhalu. Górale wierzyli, że planetnicy przy pomocy różnych magicznych czynności wyciągali wodę ze studni, źródeł, rzek lub stawów do chmur. Szybko jednak wynaleziono sposoby na odpędzenie zbliżających się chmur. Dzwoniono specjalnymi dzwoneczkami „loretańskimi" lub stawiano okazałe dzwonniczki. W Kościelisku na tak zwanej Rysulówce, w 1913 roku miejscowy gospodarz ufundował dzwonniczkę z dzwonem o średnicy czterdziestu centymetrów. Umieszczono ją na dachu owczarni. W kilka lat później, podczas pierwszej wojny światowej, władze austriackie skonfiskowały dzwon, przetapiając go na armatę.

Tym, którzy fascynują się światem starych legend i bajań o demonach, strzygach i innych stworach wielce dla człowieka niebezpiecznych, proponujemy do poduszki wspomnianą książkę Bohdana Baranowskiego.

Inna sprawa, że legendy chociaż może i stare, ale przetrwały do dziś i to niekoniecznie jako coś, w co się przestało wierzyć. Oto nieco danych z badań Leonarda Pełki nad demonologią terenu dawnego województwa lubelskiego i rzeszowskiego. Na postawione pytanie, kto po śmierci przy pomocy diabła może zostać upiorem, 26,6% respondentów odpowiedziało, że człowiek zły: 14,6%, że samobójca; 10,7%, że człowiek o dwóch sercach; 7,4%, że człowiek zmarły bez spowiedzi; 6,6% że niewierzący; 5,8%, że człowiek zmarły tragicznie; 1,7%, że owczarz; 0,8%, że człowiek zadłużony lub taki, który nie mógł długo umrzeć; 13,8% że każdy człowiek...

Brrr...

Opracował J. L.

MRÓWKA FARAONA

Mrówki należą do owadów, które szczególnie często zwracają naszą uwagę zarówno swoją wszechobecnością, jak i zdumiewająco sprawną organizacją mrówczego społeczeństwa. Powszechnie uważane są za symbol pracowitości. Znaleziska ich przedstawicieli w bursztynach sprzed stu milionów lat świadczą o długim rodowodzie tych owadów.

Środowisko życia mrówek przeważnie kojarzy się nam z lasem. W rzeczywistości występują one wszędzie nie wyłączając tak niekorzystnego dla większości owadów środowiska, jakim jest miasto. Krajowe mrówki zbytnio nie naprzykrzają się człowiekowi. Wręcz przeciwnie — ich bolesne ukąszenia mają — zdaniem niektórych — nawet dodatni wpływ na zdrowie. Nadzwyczaj rzadko spotkać je można w mieszkaniach, chociaż potrafią pokonywać grube mury.

Zupełnie inaczej rzecz się przedstawia z dalekim przybyszem — mrówką faraona. Za jej ojczyznę uważa się Egipt lub Indie; obecnie występuje ona na całym świecie i dlatego trudno ustalić ten szczegół. Do Europy została sprowadzona w ostatnich latach pierwszej wojny światowej wraz z towarami z Bliskiego Wschodu. Od razu też zadomowiła się w dużych miastach, szczególnie w budynkach dobrze ogrzewanych zimą, np. hotelach, piekarniach, szpitalach. W Polsce mrówka faraona pojawiła się w latach trzydziestych, a sprowadzono ją z Niemiec. Opanowała wiele naszych miast, występuje również w Nowym Sączu.

Mrówka faraona, w porównaniu ze swoimi krewniakami jest owadem drobnym i niepozornym, barwy żółto-brązowej, mierzącym około dwóch milimetrów długości. Jako przybysz z dalekiego południa, w naszym chłodnym klimacie może egzystować wyłącznie w miejscach o podwyższonej temperaturze, zwłaszcza w zimie. Najchętniej lokuje się więc w pobliżu przewodów centralnego ogrzewania, wzdłuż których mrówki te wędrują rozprzestrzeniając się w nowo wybudowanych blokach mieszkalnych. W przeciwieństwie do krajowych gatunków, mrówka faraona nie buduje skomplikowanych gniazd, lecz sadowi się najchętniej w szparach pomiędzy cegłami lub zaprawą murarską, pod kafelkami, we framugach drzwi itp. Jej wymagania pokarmowe są w zasadzie minimalne. Oczywiście pozornie, jeżeli bowiem w pomieszczeniu pojawi się kilkadziesiąt tysięcy osobników mogą stać się one prawdziwą plagą. Zwłaszcza, że mając doskonale rozwinięty zmysł węchu potrafią w krótkim czasie wyszukać każdy schowek z żywnością, który następnie już stale odwiedzają. Przykładowo do wykrycia przynęty z mięsa wystarcza im zaledwie piętnaście minut, zaś blok mieszkalny mogą opanować w ciągu kilku godzin. Owady te są ponadto niebezpieczne dla zdrowia ludzkiego; przenosząc się z miejsca na miejsce roznoszą wiele chorobotwórczych bakterii i wirusów.

Zwalczanie mrówek faraona jest bardzo trudne i pracochłonne, a prowadzone musi być jednocześnie w całym bloku. Zgubna jest dla nich obniżka temperatury do około dziesięciu stopni. Metoda ta jest jednak kłopotliwa w praktyce. Drugim sposobem jest ograniczenie pokarmu poprzez staranne zamykanie żywności w szczelnych schowkach oraz skrzętne usuwanie nawet najmniejszych odpadów pożywienia. Chociaż trzeba przyznać, że mrówki faraona nie są wybredne, zjadają dosłownie wszystko, nawet fusy z herbaty czy kawy. Na krótki okres można wytępić je środkami owadobójczymi, najlepiej „Muchozolem". W tym ostatnim wypadku należy pamiętać o starannym wywietrzeniu mieszkania. Są to jednak tylko półśrodki, jak dotąd nie wynaleziono skutecznego sposobu na zwalczanie plagi mrówek faraona. Podobno w USA pali się domy, opanowane przez te owady, my niestety, nie możemy sobie pozwolić na ten sposób. Cóż więc nam pozostaje? Chyba tylko jedno: mrówkę faraona trzeba polubić, zawsze to jednak przyjemniejsze żyjątko niż karaluch czy prusak...

(D. B.)

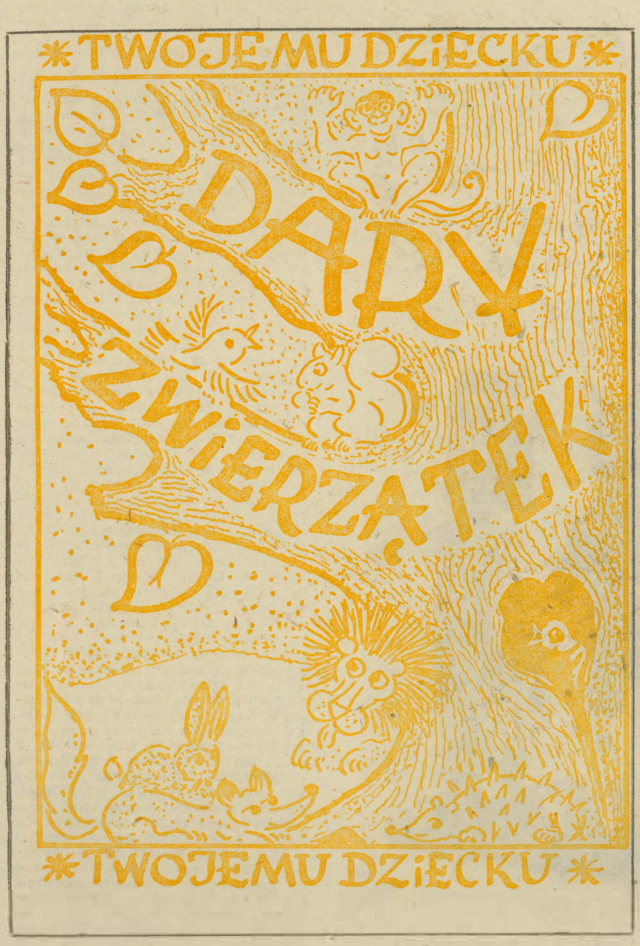

— 1 —

Kiedyś, dawno dawno, w pięknym miasteczku nad Loarą mieszkał kupiec Błażej gruby jak beczka, wesoły jak szczygiel, a bogaty jak łan pszenicy. Miał jedyną córkę, Kasię. Matka Kasi nie zdążyła nacieszyć się swoją jedynaczką, bo umarła tego samego dnia, kiedy dziecko przyszło na świat. Ale przy kolysce stanęła dobra wróżka i powiedziała zrozpaczonemu kupcowi:

— Będę chrzestną matką twojej córeczki. I dam jej w upominku urodę, rozum i dzielność. Inaczej nie potrafiłbyś jej wychować, mój grubasie.

Wróżka wiedziała, że poczciwy, ale niezbyt mądry Błażej będzie okropnie rozpieszczał córkę. I rzeczywiście. Kiedy Kasia prosiła o ciastko, przynosił jej cały kosz smakołyków. Kiedy chciała mieć nową sukienkę, sprawiał jej dziesięć. Ale mimo takiego wychowania chrześniaczka wróżki wyrosła na rozumną, dobrą, może tylko zbyt samowolną dziewczynę. Była różowa i biała jak pierwiosnek, czarny warkocz sięgał jej za pas. Toteż wszędzie mówiono:

— Kasia, córka kupca Błażeja, jest najpiękniejszą dziewczyną w całej okolicy. — I swatano ją na wyścigi. Ale Kasi nie podobał się żaden konkurent.

— Moje dziecko — wzdychał Błażej — przecież musisz wyjść za mąż. Czemu nie wybierzesz sobie jednego z tych miłych, ładnych i bogatych chłopców, którzy ubiegają się o twoją rękę? Na przykład Sylwestra? Co masz mu do zarzucenia?

— To, że jest gadatliwy jak sroka, a zarozumiały jak paw.

— No może, może... Ale Hugo? Z nim na pewno byłabyś szczęśliwa.

— Ale taki nudny, że na jego widok nawet muchy ziewają.

— Oczywiście, masz rację... A Robert? To naprawdę śliczny młodzieniec.

— Jak baranek z cukru — orzekła miłościwa Kasia. — I podobnie głupi.

— Słusznie, słusznie, córeczko. Za to Filip... To głowa!

— Ojcze! — krzyknęła Kasia z oburzeniem. — Głowa buldoga: wyłupiaste oczy i wystające szczęki. Ciągle bym się bała, że mnie ugryzie.

I tak po kolei; ostry język Kasi nie szczędził żadnego z konkurentów.

Pewnego dnia Kasia zbierała poziomki na skraju lasu. I nagle zza drzew wyszedł młody daniel. Był lśniący i płowy, z długimi, smuklymi nogami, z małą główką, na której jasne rogi tworzyły jakby złociste słoneczną koronę. I wcale nie przestraszył się Kasi, chociaż podeszła do niego bardzo blisko; stał wśród poziomek i patrzył na nią oczami spokojnymi i niebieskimi jak woda w leśnym jeziorku.

— Danielu! — zawołała Kasia. — Jakiś ty śliczny, danielu! Szkoda, że nie jesteś młodym chłopcem! Bo gdybyś był chłopcem, wzięłabym cię sobie za męża.

A dobra wróżka, która właśnie przelatywała nad lasem, zapragnęła spełnić życzenie swojej chrześniaczki. I zaraz do uszu Kasi dobiegł głos płynący niby dźwięk gitary:

— Pocałuj daniela w czoło między rogami.

Kasia pocałowała daniela. A daniel od razu przemienił się w młodego chłopca. Stał przed Kasią wśród czerwonych poziomek, smukły i piękny, z gęstwiną płowych włosów na małej głowie, z oczami spokojnymi i niebieskimi jak woda w leśnym jeziorku. Tylko na lewej ręce, tuż nad napięstkiem pozostała mu wrośnięta w skórę obrączka z danielowej sierści.

— 2 —

— Chodź — rzekła Kasia — zaprowadzę cię do ojca.

Kiedy szli gościńcem, a potem ulicami miasteczka, ludzie mówili życzliwie:

— Kasia, córka kupca Błażeja, nareszcie znalazła sobie chłopca. Młoda para weszła do domu Błażeja jak światło letniego dnia.

— Ojcze — powiedziała Kasia — to Daniel, mój narzeczony.

A gruby Błażej bardzo się ucieszył.

— Ho! ho! Jutro wyprawimy przyjęcie zaręczynowe.

I zaprosił pół miasta. Na uczcie zaręczynowej krzątał się przy stołach z radosną twarzą, szeroką i świecącą jak miedziana patelnia. Gości było bez liku. Lecz najdostojniejszą osobą na przyjęciu była stara księżna, która raczyła łaskawie przyjąć zaproszenie kupca. Była brzydka jak ropucha, przebiegła jak lis, zła jak diablica. Ze względu na jej niezwykłe bogactwo nazywano ją Damą Złotych Dukatów.

Na zaręczynach Kasi i Daniela, wśród powszechnej wesołości, brzęku kielichów, toastów i wesołego gwaru, księżna siedziała jak puszczyk, żółta z zawiści. W swoim Zamku Złotych Dukatów miała przecież wszystko, o czym można zamarzyć. Ale wśród niezwykłych zbiorów brakowało największej osobliwości: daniela przemienionego w chłopca. Bo przebiegła starucha zauważyła na ręku Daniela wrośniętą w skórę obrączkę z sierści, a że znała się na czarach, w lot odgadła wszystko. I od tej chwili myślała tylko o jednym — jak uprowadzić Daniela. Kiedy goście wstali od stołów i zaczęli przechadzać się po ogrodzie i tarasie, księżna niepostrzeżenie podeszła do młodziutkiego oblubieńca

— Bardzo mi się podobasz chłopcze — powiedziała łaskawie. — Chcę cię zaprosić do mojego zamku.

— A gdzie jest pani zamek? — spytał Daniel.

— Jak to! — krzyknęła oburzona księżna. — Nie słyszałeś o Zamku Złotych Dukatów?

— Nie, nie słyszałem. Ale mogę go zobaczyć, jeśli pani na tym zależy.

Na takie zuchwalstwo księżna, przed którą wszyscy się płaszczyli, poczerniała ze złości. Ale zarazem ten dziki chłopiec stał się dla niej jeszcze bardziej upragniony.

— W Zamku Złotych Dukatów są cuda, jakich nigdzie nie zobaczysz — ciągnęła kusząco. — Czy nie chciałbyś zobaczyć warkocza morskiej syreny? Albo przymierzyć lisią czapę księżyca? A to tylko drobna cząstka moich skarbów. Może ci nawet coś podaruję, oczywiście, jeżeli zachowasz się uprzejmie. Przed domem czeka moja kareta, dojedziemy bardzo szybko. Chodź!

— Nie pojadę bez Kasi — odpowiedział Daniel.

— Ależ Kasia też pojedzie z nami — uspokoiła go księżna. — Już jej o tym mówiłam.

Kiedy Daniel zobaczył wspaniały powóz księżnej, czwórkę wronich koni otworzył usta z zachwytu i bez sprzeciwów zgodził się wsiąść do karety.

Tymczasem Kasia rozglądała się w tłumie gości, wypatrując narzeczonego. Przeszukała cały ogród, potem wszystkie pokoje. Zaniepokojona wyszła na taras, skąd otwierał się szeroki widok. I na gościńcu zobaczyła daleki obłok kurzu — czwórka potężnych koni unosiła karetę w kierunku ciemniejących gór. To księżna, Dama Złotych Dukatów porwała Daniela. Kasia wybiegła z domu ojca tak jak stała, w strojnej sukni, cienkich pantofelkach, z kwiatami we włosach; pomknęła za świeżym śladem karety, roz-

— 3 —

paczliwie wołając Daniela. Ale on jej nie słyszał. Rozparty w miękkich poduszkach upajał się pochlebstwami staruchy i słuchał z rozkoszą jej opowieści o cudach, które go czekają na zamku. Od czasu do czasu pytał o Kasię, lecz księżna uspokajała go tym samym kłamstwem: Kasia przyjedzie jutro. Konie pędziły, kareta kołysała się lekko i Daniel zasnął jak w kolebce.

Biedna Kasia ciągle biegła gościńcem, wołając i płacząc. Było już ciemno, gdy znalazła się w lesie. Jej pantofelki podarły się na kamieniach, suknia przemokła od rosy. Bez sił upadła na trawę. Zdawało jej się, że widzi w ciemnościach groźne ślepia wilków. Nagle gdzieś spośród drzew odezwał się głos wróżki płynny jak dźwięk gitary:

— Zajrzyj do dziupli starego dębu, pod którym leżysz!

Kasia zajrzała do dziupli i znalazła w niej ubranie wędrownego grajka. Była także kobza z czarnym mieszkiem i kilkoma piszczałkami. Kasia przebrała się w okamgnieniu.

— Wejdź na to drzewo orzechowe. To cię uchroni przed głodem i przed wilkami — powiedział ten sam podobny do gitary głos.

Przy świetle księżyca Kasia zobaczyła rozłożysty orzech, pełen dojrzałych owoców. Wspięła się na gałęzie i zawołała gdzieś w górę:

— Dziękuję, chrzestna matko!

Nad drzewami przefrunął cichy śmiech i słowa rozwiewające się na wietrze: — Jutro spotkasz moich posłanników. Bądź dla nich dobra...

Potem wszystko ucichło. Kasia zjadła kilka orzechów, ułożyła się wygodnie na gałęziach i zasnęła.

Ranek był piękny. Kasia nabiła kieszenie orzechami, zeszła z drzewa i ruszyła przez las. Godziny płynęły. Droga ciągle wznosiła się w górę; sterczały głazy, po kamieniach płynęły potoki i było coraz mniej roślinności. Stanawszy przy jednym z potoków, żeby trochę pobrodzić w chłodnej wodzie, Kasia nagle zauważyła tonącą pszczołę i wyciągnęła do niej rękę. A pszczoła wygramoliła się na palec, potem frunęła w górę, usiadła na ramieniu Kasi i zabrzęczała cieniutkim głosikiem:

— Chrześniaczko wróżki, pójdę z tobą Danielowi na ratunek. Jeśli ci będę potrzebna, zawołaj: „Zum zum para plum, przyjaciół poznaje się w potrzebie!" I usadowiła się na samym czubku kapelusza. A Kasia ruszyła dalej zadowolona, że już spotkała pierwszą posłanniczkę wróżki. Po kilku godzinach zobaczyła białą mysz, która przed chwilą uciekła z ostrych pazurków jeża, a teraz skrwawiona i ledwo żywa przycupnęła nad strumieniem. Kiedy Kasia przemyła jej rany, mysz pisnęła radośnie:

— Chrześniaczko wróżki, pójdą z tobą Danielowi na ratunek. Jeśli ci będę potrzebna, zawołaj: „Mi mi do remi, przyjaciół poznaje się w potrzebie!"

Kasia wsadziła ją do kieszeni i znów szła, aż zrobił się wieczór. Trzecią posłanniczką wróżki okazała się ruda wiewiórka, którą trzeba było ratować ze szponów sowy.

— Chrześniaczko wróżki — mruknęła wiewiórka — pójdę z tobą na ratunek Danielowi. Jeśli ci będę potrzebna, zawołaj: „Honza bonza kukaronza, przyjaciół poznaje się w potrzebie!"

Po krótkim odpoczynku znów ruszyła dalej. Było ciemno, okolica stawała się coraz dziksza. Nagle zza chmur wyjrzał księżyc; jego światło wyszarpnęło z ciemności Zamek Złotych Dukatów.

Zamek wyglądał ponuro i odrażająco. Wejścia do bramy broniła fosa z ciemną wodą i zwodzonym mostem. Wszędzie widać było kraty, żelazne

— 4 —

kolce, bariery, lufy dział. Wspaniały zamek był jak więzienie, w którym Dama Złotych Dukatów strzegła swoich bogactw.

Czepiając się korzeni i głazów Kasia zeszła nad fosę i wąziutką kładką przedostała się na drugi brzeg. Brama była zamknięta, Kasia zaczęła wołać i stukać. Po chwili uchyliła się mała furtka, wyjrzał odźwierny z twarzą piekielnego psa.

— Wynoś się stąd, żebraku — krzyknął wściekłym głosem. — Nie wpuszczamy na zamek takich oberwańców.

Kasia odeszła od bramy. Co dalej? Jak ratować Daniela?

— Nie spuszczaj nosa na kwintę — upomniała ją wiewiórka. Jeżeli ci smutno, zagraj na kobzie.

— Nie umiem grać na kobzie — odparła Kasia.

— Bo nigdy nie próbowałaś. Dmuchaj w piszczałki i przebieraj palcami. A mieszek naciskaj łokciem.

Kasia zaczęła co sił dmuchać w piszczałki, a z kobzy polały się dźwięki tak skoczne, tak wesołe, że zwierzątka zaczęły tańczyć. Po chwili w dwóch okienkach baszty zapłonęło światło, zazgrzytały otwierane okiennice, a zza ciemnych rolet wysunęły się dziewczęce głowy. W baszcie mieszkały dworki. Nudziło im się bardzo pod rządami grymaśnej staruchy, toteż chętnym sercem witały każdą rozrywkę.

— Chłopcze, jak ty ładnie grasz! Skąd przyszedłeś z tymi zwierzątkami?

— Panienki — zawołała Kasia uchylając kapelusza. — Zabłądziłem w lesie, nie mam gdzie przenocować. Może dacie mi jakiś kąt pod dachem i kawałek chleba? Moje śliczne tancerki będą was bawiły do rana.

Po krótkiej naradzie dworki rzuciły koniec sznura, po którym Kasia z całą swoją menażerią wspięła się na mur i przez okienko weszła do baszty. W ciągu długich godzin bawiła znudzone panny, aż dały jej coś do zjedzenia i kąt na strychu.

Ale ranek przyszedł smutny, pochmurny, dworki obudziły się w złym humorze, a bojąc się księżnej, zaczęły przynaglać Kasię do wyjścia.

I Kasia połykając łzy, pobrnęła przez dziedziniec ku furtce. Z budki wyskoczył odźwierny; wygrażając halabardą rzucił się na zuchwałego żebraka.

Ale Kasia zawołała:

— Zum zum para plum, przyjaciół poznaje się w potrzebie!

Wtedy pszczoła brzęcząc sfrunęła z kapelusza i ugryzła odźwiernego w nos, a na środku dziedzińca, pojawił się ul z tak promiennego kryształu, że nawet ponury zamek pojaśniał. Dworki otwierając usta z podziwu, otoczyły ul. Przez taflę kryształu przeźroczystą jak woda widać było wszystko, co się działo w środku. A działy się tam niesłychane rzeczy. W okrągłej pałacowej salce ze świecznikami na ścianach — siedziała na kryształowym tronie królowa pszczół w złotym płaszczu. Wokół tronu stały pszczoły-paziki w krótkich złocistych pelerynach i damy dworu w dużych kapeluszach; pod ścianą, przed grającą kapelą pszczół dyrygent wymachiwał malutką batutą. Królowa dała znak łapką, paziki skłoniły się przed damami dworu i wszystko zawirowało w tańcu. Dworki piszczały z zachwytu. Potem wzięły się za ręce i też zaczęły tańczyć. Krzyk, śmiech, przytupywanie tańczących dworek i brzęczenie pszczelej kapeli rychło ściągnęły na dziedziniec panią tego zamku.

— Co się tu dzieje? Nie znoszę hałasu. Przestańcie krzyczeć, głupie dziewczyny. A skąd się wzięł ten pastuch?

— 5 —

I nagle zobaczyła ul z czarodziejskim pszczelim balem. Aż się zachłysnęła z chciwości.

— Muszę to mieć. Do kogo to należy?

Kasia zdjęła kapelusz i ukłoniła się.

— Ładne rzeczy dzieją się na świecie! Taki skarb należy do nędznego grajka czy pastucha! — powiedziała księżna ze złością. — Sprzedaj mi ul, kobziarzu.

— Nie sprzedam go za wszystkie złote dukaty tego zamku — odpowiedziała Kasia. — Ale słyszałam, że są tu osobliwości, jakich nie ma nigdzie na świecie. Jeśli zobaczę coś piękniejszego niż ten ul, oddam ci go pani darmo.

Księżna płonęła taką żądzą posiadania ula, że zaprowadziła Kasię na zamkowe pokoje. Szły wśród blasków złota, drogocennych kamieni, przepysznych tkanin. Kasia rozglądała się bacznie. Obejrzała w milczeniu nawet cudowne osobliwości księżnej: zegar wydzwaniający tylko szczęśliwe godziny, gwiazdkę z Mlecznej Drogi, zieloną różę, warkocz syreny, pantofelek Kopciuszka, lisią czapę, którą wkłada księżyc przed deszczem, i różowe okulary czarodzieja. Ale Daniela nie było, a Kasia szukała tylko jego.

— No i co? — rzekła zdziwiona księżna. — Cóż znaczy wobec tych cudów twoja zabaweczka? Przyznasz, że nic. A więc ul należy do mnie.

— Nie, księżno — odpowiedziała Kasia — te cuda są martwe, a moje pszczoły grają, tańczą, żyją. Nie oddam ula.

— A gdybyś zobaczył chłopca, pięknego chłopca, który ma nad lewym napięstkiem pasemko zwierzęcej skóry, ponieważ przedtem był leśnym zwierzęciem? — szepnęła księżna.

— Daniela? — zawołała Kasia zapominając o ostrożności.

— Ach tak, dowiedziałeś się o nim? Pewnie od moich dworek? — Zabieraj się stąd, nie chcę twojej zabawki.

— Księżno — błagała ją Kasia. — Oddam ul za chwilę rozmowy z Danielem.

— Dobrze. Tu jest sypialnia Daniela. Zobaczysz go wieczorem, kiedy pójdzie spać. Możesz nawet przesiedzieć do rana pod jego drzwiami, on i tak na ciebie nie spojrzy. A teraz odejdź.

Biedna Kasia nie mogła przewidzieć podstępu księżnej: zła starucha, żeby zatrzymać Daniela na zawsze, dodawała mu co wieczór do wina trochę złotego proszku. A gdy złota trucizna wchodzi człowiekowi w krew, dzieją się z nim niedobre rzeczy — traci serce dla ludzi i pamięć o najbliższych, myśli tylko o złocie. I tego wieczoru przy kolacji Daniel też wypił wino z tajemniczym proszkiem i obojętnie pożegnawszy księżnę poszedł do swojej sypialni. Kasia, która stała pod drzwiami, wyciągnęła ramiona, żeby go uścisnąć, ale odsunął jej ręce, spojrzał na nią bezmyślnym, nieprzytomnym wzrokiem, potem wszedł do sypialni i przekręcił klucz. Kasia uklękła na progu. Płacząc wołała Daniela.

Żadnej odpowiedzi. Daniel spał, śniło mu się złoto. Noc była długa i smutna, a ranek jeszcze smutniejszy.

— No i jak pastuchu, czyś zadowolony? — spytała zjadliwie księżna. — Jesteśmy kwita! Wynoś się!

Stojąc na szczycie schodów patrzyła ze złą radością, jak biedny, skulony kobziarz odchodzi wolniutko ze swoimi zwierzętami. Odźwierny wybiegł z budki i już otworzył furtkę, żeby wyrzucić Kasię, gdy ta zawołała głośno:

— Mi do re mi, przyjaciół poznaje się w potrzebie!

A z jej kieszeni wyskoczyła mysz i ugryzła w nos odźwiernego. I na samym środku dziedzińca pojawił się domek, śliczny i malutki jak dla

— 6 —

lalek. Z komina smużył się dym, w oknach powiewały firanki, a na ganek wyszła mysia rodzina: mama-mysz w fałdzistej sukni, z kluczykami u paska, tata-mysz w szlafroku i haftowanych pantofelkach, czworo mysiąt-dzieci w kolorowych sukienkach. Była tam nawet babcia i dziadek z długą wygiętą fajką.

Dama Złotych Dukatów natychmiast podbiegła do mysiego domku.

— Chłopcze — powiedziała do kobziarza — sprzedaj mi domek za tę samą cenę, co ul.

I Kasia, która nie straciła nadziei, że odzyska Daniela, z radością przystała na propozycję Księżnej. Ale wieczorem powtórzyło się to samo: Daniel przeszedł koło Kasi i nie poznał jej, nawet nie spojrzał, a drzwi zamknął na klucz. Wołania i prośby Kasi nic nie pomogły.

Trójka jej wiernych przyjaciół zebrała się na naradę.

— Wlezę przez dziurkę od klucza — powiedziała pszczoła — i obudzę chłopca.

Wsunęła się do pokoju i zaczęła krążyć nad głową Daniela z dzikim brzęczeniem — Daniel ani drgnął.

— Uśpiono go — rzekła wiewiórka, kiedy pszczoła wróciła do swych przyjaciół. — Stara wiedźma uśpiła Daniela. Może to czary?

A mysz, wygryzając ostrymi ząbkami dziurkę pod progiem, pisnęła stanowczo:

— Niech no ja tam wejdę. Już ja mu pokażę!

Przedostała się do sypialni i skoczyła na łóżko. Daniel spał jak zabity. Mysz przywarła czujnym uchem do jego piersi: serce ledwo biło. Daniel był zaczarowany.

— Nie martw się — pocieszała wiewiórka Kasię, kiedy mysz przyniosła tę smutną wiadomość. — Mamy jeszcze jeden dzień przed sobą. Jutro sama pogadam z imć Danielem.

Rano triumfująca księżna znów wypędziła Kasię. A na dziedzińcu znów czekał odźwierny z halabardą. Kasia zawołała:

— Honza bonza kukaronza, przyjaciół poznaje się w potrzebie!

Wiewiórka ugryzła odźwiernego w nos — który tym razem spuchł jak arbuz — i na środku dziedzińca pojawił się mały teatrzyk. Fotele na widowni były obszyte niebieskim aksamitem, a loże żółtym; wszędzie siedziały wiewiórki w pięknych sukniach, we fraczkach, z lornetkami w ręku. Kurtyna się podniosła przy dźwiękach marsza „Twardy orzech" i zaczęło się widowisko o Królewnie Śnieżce. Publiczność klaskała, aktorzy kłaniali się.

— Pastuchu czy czarowniku! — krzyknęła Dama Złotych Dukatów. — Kupię teatrzyk za tę samą cenę, co ul i domek.

Wiewiórka nie traciła czasu: wspięła się na dach zamku i wypatrzyła stąd Daniela. Leżąc w ogrodzie pod śliwą, od czasu do czasu wyciągał rękę, żeby zerwać dojrzały owoc. Ale drzewo było za wysoko, a Danielowi nie chciało się wstać. Ziewał przy tym tak okropnie, że wiewiórkę od patrzenia zabolały szczęki. Po czubkach drzew przedostała się na śliwę.

— Dzień dobry, Danielu! — zawołała z gałęzi. — Widzę że się bardzo nudzisz. Może porozmawiamy?

— O czym mam z tobą rozmawiać? — leniwie mruknął Daniel. — Przecież jesteś tylko wiewiórką.

— Owszem, jestem wiewiórką, ale przynajmniej nie ziewam. A ty albo śpisz albo ziewasz.

— 7 —

— Właśnie — powiedział Daniel — to dziwne. Co się ze mną dzieje? Mam ciężką głowę, męczące sny, nic nie pamiętam, nic nie rozumiem. Jestem chyba nieszczęśliwy. Jak na to zaradzić?

— Powiem ci, jak — odparła wiewiórka. — Nie pij wina, które ci daje księżna, to nie będziesz spał. A jeżeli nie będziesz spał, zrozumiesz i przypomnisz sobie wszystko. Wejdź wieczorem do sypialni i nie śpij. Szczęście samo do ciebie zawoła...

— Skoczyła na sąsiednie drzewo i znikła w gęstwinie.

Wieczorem Daniel, jak zwykle, zasiadł z księżną do kolacji. Ponieważ zaciekawiły go słowa wiewiórki, zaczął podglądać każdy ruch księżnej. Po raz pierwszy zauważył jej szpetny, fałszywy uśmiech i pomyślał, że te pochlebstwa, których mu nie szczędziła, niewiele są warte. I nie wypił wina; gdy księżna na chwilę się odwróciła, wylał je pod stół. Potem, udając że jest senny, wyszedł.

Przed drzwiami sypialni zauważył chłopca z kobzą, ale minął go bez słowa. Chciał czym prędzej zostać sam, żeby się dowiedzieć jak go zawoła szczęście, o którym mówiła wiewiórka. I nagle usłyszał głos Kasi, jej czułe słowa — o tym jak go szukała, jak tęskniła i jak mimo królewskich darów zwierzątek nie mogła go odzyskać. Słuchając tego głosu Daniel ocknął się, w jego pamięci odżyło wszystko, serce zaczęło bić mocno i szybko. Otworzył drzwi i zawołał Kasię; rzuciła mu się w ramiona.

— Kasiu, uciekajmy z tego przeklętego zamku!

— To nie takie łatwe, imć Danielu — zauważyła wiewiórka. — Dama Złotych Dukatów nie lubi wypuszczać z rąk tego, co posiada. A my już nie mamy żadnych darów na okup.

— Zostaw to mnie — powiedział Daniel, który nagle jakby poczuł się dorosłym mężczyzną.

I stąpając bezszelestnie wrócił do sali jadalnej, żeby znaleźć złoty proszek. Szukał gorączkowo, przypominał sobie każdy ruch księżnej podczas dzisiejszej kolacji. Jak to było? Aha, zanim nalała mu wina, zdjęła ze ściany myśliwską trąbkę, która była wypełniona złotym proszkiem. Nabrał pełną garść i na palcach zakradł się do sypialni księżnej, która chrapała z otwartymi ustami. Daniel wsypał jej do ust całą garść proszku, a starucha nie budząc się, zaczęła się błogo uśmiechać. Już śniła o swoim ukochanym złocie; śniła długie lata, a może nawet jeszcze śni do dzisiejszego dnia. Najgroźniejszy wróg Daniela i Kasi został unieszkodliwiony.

Oboje, razem ze zwierzątkami, weszli do stajni. Daniel osiodłał najlepszego konia i wyprowadził go na dziedziniec.

Kasia i Daniel nareszcie jechali do domu. Gwiazdy już zaszły, zaczęło świtać, potem zabłysło słońce. Zaczynał się piękny, letni dzień. Daniel wciąż odwracał głowę, żeby nacieszyć się swoją Kasią. I gdyby nie wiewiórka, która usiadła na końskim karku i trzymała w łapkach uzdę, nie wiadomo, dokąd by zajechali.

Jakże ucieszył się kupiec Błażej, kiedy zobaczył córkę i jej narzeczonego! Na przyjęcie weselne znów sprosił pół miasta. Wszyscy bawili się cudownie, ale najpiękniejszym, niezapomnianym widowiskiem był taniec wiewiórek i białych myszy, które też zaproszono na wesele. Nie zapomniano również o pszczołach. Wirując nad głowami gości brzęczały melodię ulubionej piosenki Kasi:

W pięknym miesiącu maju
panny w zielone grają...

(Baśń francuska opracowana przez NATALIĘ GAŁCZYŃSKĄ)

Korespondencje z zagranicy

Szachowy komputer

Byłoby przesadą stwierdzenie, że popularność szachów na Węgrzech dorównuje popularności piłki nożnej. Jest jednak faktem, że ten „umysłowy sport" zdobył sobie ogromne rzesze przysięgłych zwolenników. Wystarczy latem wybrać się na którekolwiek ze słynnych budapeszteńskich kąpielisk, aby zobaczyć zanurzonych po pas w wodzie i otoczonych gęstym tłumem kibiców — szachowych fanatyków.

Nie jest tajemnicą, że szachami pasjonuje się pierwszy sekretarz KC WSPR, Janos Kadar, który od czasu do czasu odwiedza węgierski Związek Szachowy i tam obserwuje rozgrywki lub sam siada za szachownicą. Czołowi węgierscy szachiści, zarówno mężczyźni, jak i panie liczą się w światowej rywalizacji. Tak np. Lajos Portisch zajmuje obecnie 5 miejsce na liście światowych sław.

Jest zrozumiałe, że Madziarzy żywo reagują na wszelkie nowinki szachowe. Obecnie w centrum zainteresowania znalazły się tu „kieszonkowe" automaty szachowe. Węgierscy celnicy sygnalizują, że mogą one się stać szlagierem przemytniczym 1982 roku. W związku z modą na szachowe komputerki przypomina się tu, że Węgry są właśnie tym krajem, w którym już przed 200 laty zmajstrowano pierwszy w świecie „automat do gry w szachy". Jego konstruktorem był Farkas Kempelen, a tajemnica wynalazku chyba nigdy nie zostanie odkryta do końca. Z opisu ówczesnego kronikarza wynika, że machina przypominała biurko ustawione na czterech nogach, zaopatrzonych w kółka, a więc można było ją łatwo przesuwać w dowolne miejsce. Na krześle przymocowanym do biurka siedziała drewniana kukła, przedstawiająca Turka. Prawą ręką opierał się on o stół, a w lewej trzymał fajkę w pozycji jak gdyby przed chwilą wyjął ją z ust. Szachownica była przytwierdzona do stołu śrubami. Gdy Turek zaczynał grę, wyjmowano mu fajkę z ręki. Po każdym posunięciu przeciwnika kukła przyjmowała ruch do wiadomości skinieniem głowy. Jeśli ruch był niezgodny z przepisami — trzęsła głową ze zdenerwowania. Natomiast, ilekroć Turek robił ruch, machina wydawała dziwne zgrzyty.

Kempelen był człowiekiem uniwersalnym, znał się na tysiącach rzeczy. On to zorganizował produkcję płótna w miejscowości Baeska; w wiedeńskim Schoenbrunnie zbudował fontannę, kierował wznoszeniem kościoła w Budzie na wzgórzu zamkowym i budową kanału na terenach dzisiejszej Jugosławii. Parał się też konstrukcją maszyny „do naśladowania głosu", ale gdy pada jego nazwisko, natychmiast każdy na Węgrzech kojarzy je z automatem do gry w szachy. Kempelen ze swoim „Turkiem" zapraszany był na dwory cesarza i cara, królów, książąt i innych możnowładców. Musiał otwierać szereg drzwiczek machiny, by dowieść, że w środku nie ma żywej duszy. Przewędrował pół świata i „Turek" ani razu nie doznał porażki.

Na czym polegał sekret machiny, nikt nie odpowie. Najbardziej prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że w biurku ukryty był świetny szachista — pewien polski rewolucjonista, któremu kiedyś amputowano nogi. Kiedy Kempelen otwierał poszczególne drzwiczki dla pokazania machiny od wewnątrz, przemieszczał się on z przegrody do przegrody. Nasuwają się jednak pytania — jak był on w stanie nieraz pół dnia wytrzymać niemal w hermetycznym zamknięciu bez jadła i napoju, w dodatku dokonując olbrzymiego wysiłku umysłowego, aby nie przegrać partii? I skoro w machinie był człowiek, to jak udało się to zachować w całkowitej tajemnicy?

Z niektórych węgierskich źródeł wynika, że machina spłonęła w czasie wielkiego pożaru w ubiegłym stuleciu. I choć pewien mistrz amerykański w 1920 r. twierdził, że automat znajduje się w Stanach Zjednoczonych i sam rozegrał z nim szereg partii, to jednak nie znaleziono na to żadnych dowodów.

Obecnie, gdy grę w szachy zaczynają opanowywać maszyny liczące, warto przypomnieć o wynalazku Farkasa Kempelena, który wyprzedził swą epokę o 200 lat i skonstruował — z człowiekiem czy posługując się tylko jego rozumem — tajemniczy komputer szachowy.

WOJCIECH STANKIEWICZ

Poszukiwacze

Różnie się ich określa. Jedni twierdzą, że są to marzyciele, inni, że — awanturnicy. W sumie są to z pewnością marzyciele, szukający wielkiej przygody. Nie działają na oślep. Ich poczynania podbudowane są rzetelną wiedzą. Nie szczędzą czasu na szperanie w starych szpargałach czy naukę języków, które dawno poszły w zapomnienie.

Bogactwa Zakonu Templariuszy

Tajemniczy zakon mnichów-żołnierzy do dziś fascynuje wiele umysłów Zachodu. Założony na początku XII wieku wyróżnił się podczas wypraw krzyżowych nie tylko męstwem i surowością obyczajów (św. Bernard pisał, że nie byli oni nigdy uczesani, rzadko umyci, pokryci kurzem, a skóra ich była wygarbowana przez upał i kolczugi), lecz i zdobyciem tak bajecznych bogactw, że stali się bankierami królów. I to było przyczyną ich zagłady. Dużo mówi się wciąż o tragicznym końcu zakonu, gdy król francuski, Filip Piękny, zapragnął położyć rękę na tych bogactwach i skazał na stos przeora zakonu wraz z jego najbliższymi współpracownikami. Lecz olbrzymia fortuna gdzieś się rozpłynęła i od wieków snuje się różne przypuszczenia o miejscu ukrycia skarbów. Każdy z poszukiwaczy marzy o odkryciu choćby części ukrytych skarbów.

Są i tacy, którzy starają się dotrzeć do tajemnic produkcji rolnej Templariuszy. Na obszarze Belgii, wówczas kraju pokrytego gęstymi lasami, zakonnicy zakładali tzw. komandorie (z których do dziś istnieje parę budynków w Villers-le-Temple). Sądząc ze starych zapisów, gospodarstwa te dawały nieprawdopodobnie bogate plony. Trudno więc się dziwić, że wielu poszukiwaczy tajemnic Templariuszy skupiło uwagę właśnie na rolnictwie. I choć na ogół patrzono na tych „poszukiwaczy" z uśmiechem pobłażania, od kilku lat sprawa nabrała znaczenia.

Zimowy dzień

...Proszę zapiąć pasy, za chwilę lądujemy. Lokalny czas — piąta rano. Na lotnisku w Irkucku temperatura powietrza minus 42 stopnie... Rutynowa informacja stewardessy tym ostatnim słowem wyrywa z drzemki, podnieca. Ładnie zaczyna się spotkanie ze wschodnią Syberią...

Temperatura nadal spada. Jest już minus 44 stopnie. Piękny, prawdziwie syberyjski dzień — mówią miejscowi. Wypada milcząco się zgodzić i nie przejmować nieznanym uczuciem kłucia tysiąca szpilek w nosie, ani tym bardziej zrezygnować z możliwości ujrzenia Bajkału w zimowej krasie.

Przed podróżą wiele czytałem o Bajkale, zastanawiając się dlaczego — ktokolwiek pisał o tym jeziorze — poprzedzał swój opis pompatycznym wstępem, barwnymi sformułowaniami, które miały już na początku uprzytamniać czytelnikowi, że temat i obiekt są niezwykłe, niepowtarzalne, wręcz fantastyczne. Czy widok potwierdzi te zachwyty?

Stając jednak tego mroźnego styczniowego ranka u brzegu Bajkału, tam, gdzie wlewać się zaczyna w potężną rzekę Angorę, zobaczyłem jedynie nieprzeniknioną ścianę mleczno-szarej mgły, przez którą daremnie usiłowała się przebić krwiście czerwona tarcza słońca. W tej zwartej mgle tuż koło nas przepływa rybacka barka. Mimo tak siarczystego mrozu bajkalscy rybacy wyruszyli na połów omuli — smacznej ryby, żyjącej tylko w tym jeziorze. Szkoda, że tak szczelnie zasłonił się Bajkał mgłą — lecz nie straconego. Można wszak przejść śladami ludzi związanych z życiem tego wielkiego jeziora.

Episzura contra homo sapiens

Definicji człowieka — sądzę — przypominać nie trzeba. Co innego episzura — kto o niej słyszał?

Dopiero niedawno biologowie wysunęli hipotezę, która prawdopodobnie jest najwłaściwszą odpowiedzią na pytanie, dlaczego woda w Bajkale jest niezwykle czysta i przeźroczysta. Żyje tu masowo mikroskopijny endemiczny raczek — episzura *epischura baicalensis*. Ławica wyglądających jak białe ziarnka skorupiaczków przemieszcza się pionowo od górnych do najgłębszych warstw wodnych Bajkału. Pożywienie ich stanowią różnorodne, zabarwiające wodę mikroorganizmy, dla zdobycia

Wróżba prawdę ci powie...

Praktyki magiczne i wróżbiarskie często wiążą się w Azji ściśle z systemem politycznym, a nie tylko z codziennym życiem przeciętnego człowieka. Mieszkaniec tamtych stron już w momencie urodzenia ma los „zakodowany" w postaci szczegółowych wyznaczników, którymi są rok i miesiąc, a nawet godzina przyjścia na świat. Kalendarz tradycyjny, oparty na cyklu kwadr księżyca, jak do dziś stosuje się na Dalekim Wschodzie, przypisuje każdego człowieka do jednego z dwunastu zwierząt. I tak np. wspólne cechy mają ludzie urodzeni w latach 1956, 1968 i 1980, ponieważ wtedy przypadał rok Małpy — są zdolni, często nawet nieprzeciętnie inteligentni, uczą się błyskawicznie, potrafią swoje umiejętności dobrze „sprzedać", ale zarazem są kapryśni, kłótliwi i intrygańcy.

Od znaku zwierzęcia zależy zatem charakter oraz dalsze losy człowieka, któremu to zwierzę „patronuje" i co więcej — wszelkie układy międzyludzkie, takie jak małżeństwa, interesy itp. Nie powinny na przykład pobierać się osoby urodzone pod znakami Kozy i Tygrysa, ponieważ taki związek ma już w zarodku waśnie, jeśli nie zbrodnię...

Dlatego do dzisiaj w większości krajów wschodnioazjatyckich obowiązkowe jest ustalenie przedślubnego horoskopu m. in. na podstawie znaków kalendarza księżycowego. W ten sposób ustala się także daty ślubu i innych ważniejszych wydarzeń w życiu. W Singapurze potencjał elektronicznego idą do wróżbity, gdy mają zawrzeć intratny interes. Gdy w Hongkongu budowano metro wszystkie ważniejsze etapy budowy rozpoczynano w specjalnie oznakowane na czerwono w kalendarzu dni szczęśliwe i dobrowróżbne.

W Indiach wielu wybitnych uczonych światowej sławy korzysta z usług magów przed przystąpieniem do ważniejszych eksperymentów naukowych czy np. przed udaniem się za granicę na konferencję. Decyzje dotyczące rozwoju fizyki nuklearnej, budowy reaktorów, eksplozji pierwszego indyjskiego ładunku jądrowego — zapadły po konsultacji z wróżbitami, którzy na podstawie kalendarza i układu gwiazd wyznaczyli odpowiednie terminy. Proklamowanie niepodległości Indii — 14 sierpnia 1947 r. o północy i niepodległości Birmy — 4 stycznia 1948 r. — ustalono również po zbadaniu układu planet. Władcy państw himalajskich, królowie: Nepalu — Birendra i Bhutanu — Dżigme Singhi Wangczhuk czekali na koronacje po kilka lub kilkanaście miesięcy zanim nie nadszedł ów dzień, wybrany przez nadwornych astrologów. Jeden z byłych prezydentów Indii co jakiś czas opuszczał pałac prezydencki ponieważ astrolog powiedział mu, iż nie powinien dłużej niż kilkanaście dni tam przebywać.

Urodzeni wieczorem są na Jawie traktowani jako ludzie mniej przez los uprzywilejowani, bowiem moment ich narodzin kojarzy się z zanikaniem, a to może wróżyć np. pożarcie przez tygrysa, gdy taki człowiek nieopatrznie wejdzie do dżungli. Sukarno nie dopuszczał do siebie myśli o operacji chirurgicznej chociaż stan jego nerek tego wymagał i jego wróżbita, „dukun" zapowiedział mu bowiem, że może „umrzeć od noża". Obecny prezydent Indonezji, Suharto, podejmuje ważne decyzje we wtorki lub czwartki — gdyż są to dni dobrowróżbne, natomiast niczego istotnego nie przedsiębierze w soboty, ponieważ jest to dzień powszechnie uważany za niepomyślny. Żaden Jawajczyk nie pójdzie w sobotę do szpitala, a prezydent nie przyjmuje żadnych gości.

W Japonii, która jest synonimem postępu technicznego, też zasięga się porady astrologów przed zawarciem związku małżeńskiego czy powzięciem istotnych decyzji. W jednej z głównych handlowych dzielnic Tokio, Ginza, można na jednym ze skrzyżowań za jedyne półtora dolara (300 jenów) włożyć dłoń do aparatu, który wróży na podstawie układu chiromatycznego. W lokalach rozrywkowych i na stacjach kolejowych widuje się w miastach japońskich wróżbitów, specjalizujących się w analizowanie heksagramów — magicznych linii (trzech ciągłych i trzech przerywanych), występujących w 64 kombinacjach.

W dzisiejszych Chinach, które Mao Tse-tung starał się usilnie nakłonić do wykorzenienia wszelkich praktyk tchnących feudalizmem i zabobonem, odżyło po jego śmierci wiele starych przyzwyczajeń, w tym także — zwłaszcza w mniejszych miastach — zwyczaj zwracania się po poradę do wróżbitów. Zresztą sam Mao stosował się do tradycyjnych chińskich analogii wróżbiarskich — nie jeździł na przykład za granicę (z jednym tylko wyjątkiem), ponieważ brodawka, którą miał na twarzy, stanowiła — według przepowiedni — ostrzeżenie przed udawaniem się w nieznane strony...

Kierunek północny w Chinach i Japonii uchodzi za niewłaściwy. Kiedyś był siedzibą złych duchów, dzisiaj tłumaczy się wścibskim Europejczykom, że stamtąd wieją lodowate wichry... Zresztą wiele przesądów jest wspólnych dla całkiem odmiennych kręgów kulturowych — na Filipinach uważa się, że czarownice podróżują na miotłach, w Malezji, że gwizdanie w ciemności przyciąga nieszczęścia. Ale bywa i odwrotnie — pełnia Księżyca jest w Chinach i Korei synonimem pory weselnej, a karaluchy zwiastunami powodzenia i obfitości, czarny kot zapowiada szczęście, a otwarte nożyce — dobre interesy. No i komu tu wierzyć?

JERZY BAYER

20 DUNAJEC 83

Korespondencje z zagranicy

skarbów

Przed trzema laty w telewizyjnej audycji dla ogrodników wystąpił Armand Ell i oświadczył, że jest na tropie tajemnic sukcesów rolnych Templariuszy i gotów jest to udowodnić. W jednym z najpiękniejszych brukselskich parków otrzymał małą działkę i rozpoczął swe doświadczenia. Zbierał ścinane gałęzie z drzew parkowych, opadłe liście itp. i przygotowywał kompost. Następnie założył poletka doświadczalne I gdy przeflancował pomidory do gruntu pod siedmiocentymetrową warstwą kompostu, nie wyrósł ani jeden chwast, a pomidory obrodziły do 20 kg z krzaka. Doświadczenie powtórzył w następnym roku z jeszcze lepszym sukcesem. Zapobiegliwi Belgowie i Holendrzy przybyli nawet z najdalszych zakątków, aby podziwiać sukcesy A. Ella.

Na zapytanie, jak Armand Ell doszedł do tak zaskakujących wyników, odpowiadał on, iż dokładnie studiował Biblię i znalazł tam opis, jak człowiek przybył na ziemię i zastał lasy... W oparciu o ten opis ciął chrust na różne kawałki, lecz największy plon uzyskał, gdy miały one długość 7 cm i położone były warstwą także 7 cm. Brzmi to wręcz nieprawdopodobnie, lecz kto raz ujrzał te poletka doświadczalne i ich plony, przestał wątpić w realność jednej z tajemnic bogactwa Templariuszy. Nic więc dziwnego, że „biokultura" (jak to się nazywa) jest nie tylko tematem numer jeden w rozmowach towarzyskich w Belgii i Holandii, lecz najbardziej pasjonującym hobby.

Skarby nie tylko opactw i klasztorów

Na obszarze Belgii znaleziono tak wiele skarbów, że doprawdy nie wiadomo, ile kraj ten, a zwłaszcza Brukseli, kryje jeszcze tajemnic.

Poszukiwacze ich nie szczędzą trudu, by odczytywać np. symbolikę rzeźb w starych kościołach czy kaplicach przyklasztornych. Jest to zajęcie fascynujące, które pozwala rozszyfrować np. zagrożenie (rzeźba przedstawiająca wilka pożerającego jagnię) czy miejsce badań alchemicznych (rzeźba św. Barbary, która była patronką alchemików i chroniła ich przed niebezpiecznymi wybuchami, zanim została patronką górników) itp. Każdy utrwalony mistrzowską dłonią gest czy wyraz twarzy w rzeźbach postaci ludzkich, czy grymasy zwierząt mają swoje symboliczne znaczenie. Lecz kto dziś po tylu wiekach potrafi prawidłowo odczytać symbolikę okresu inkwizycji czy wojen religijnych? A przecież kościoły, klasztory czy pałace były wielokroć rabowane, burzone, palone i plądrowane. Jak ustalić gdzie skarby te mogą być ukryte czy zabezpieczone?

Czasem, gdy słońce pada pod pewnym kątem, na resztkach starych murów otaczających dawne pałace, opactwa, czy klasztory, pojawiają się krzyże, którymi w średniowieczu znakowano miejsca ukrycia skarbów lub trudne do odszyfrowania dziś znaki. Po wielu żmudnych poszukiwaniach na ogół znajdowano tam ukryte pod ziemią, czy nawet w samym murze, cenne przedmioty lub pieniądze. Lecz do najbogatszych znalezisk zaliczyć można odkryte w 1908 roku, gdy robotnik pracujący w piwnicy restauracji przy ulicy d'Assault w Brukseli, natrafił na starą studzienkę. Ukryty był w niej skarb młodszego syna Jana bez Ziemi, Ryszarda z Kornwalii (ok. 1270 r.), składający się z niezwykle cennych monet (wartość ich szacuje się na ok. 100 mln franków belgijskich). Także skarb księcia de Cléve (z ok. 1480 r.) odnaleziony został w 1928 roku przy rozkopywaniu ulicy Canterstein.

Wiele jednak pytań pozostaje do dziś bez odpowiedzi. Jednym z nich jest skarb opactwa de la Cambre, zarejestrowany w starych księgach klasztornych. Gdy w 1793 roku rewolucjoniści wtargnęli do opactwa, okazało się, że skarb zniknął i nie odnaleziono go do dziś.

Nagle w pewnym oświetleniu ukazał się na murze napis, dokonany w starym prymitywnym języku niderlandzkim *„O dziewięć stóp stąd"*. Lecz w jakim kierunku, jakich stóp, co w tym okresie określano jako stopę, może to oznaczało kroki? Te i inne pytania spędzają wielu poszukiwaczom sen z oczu i budzą nowe marzenia.

R. SIERZPUTOWSKA

nad Bajkałem

których nieustannie filtrują wodę. Gdyby wszystkie filtry wodociągów świata połączyć, będą mieć mniejszą „moc przerobową" od bajkalskiej episzury. Co by się stało, gdyby na skutek zakłócenia równowagi naturalnej środowiska episzura wyginęła? A niewiele do tego potrzeba — raczek ten żyć i rozmnażać się może jedynie w temperaturze wody od plus 2 do minus 6 stopni Celsjusza. Takie warunki zagwarantował Bajkał — działalność człowieka gwarancje te może naruszyć...

Do Bajkału wpływa 336 rzek, zlewisko jego obejmuje obszar 557 tys. kilometrów kwadratowych — znacznie większy od terytorium Francji i niemal takie jak dwie Polski. W większości pokryte jest ono odwieczną tajgą. Ale w powojennych latach w rejonach nadbajkalskich rozwijać się zaczął przemysł. Przyszłość zapowiada znaczne zwiększenie eksploatacji naturalnych bogactw tego rejonu wschodniej Syberii — zwłaszcza drewna i kopalin mineralnych. Tymczasem obecny wyrąb tajgi już przyniósł niepokojące naukowców symptomy — lustro wody w Bajkale obniżyło się o 70—80 centymetrów. Jeszcze nie odbija się to na środowisku, ale...

Zbudowane nad dopływami Bajkału dwa kombinaty celulozowe — w Bajkalsku i Seleginsku — mimo wyposażenia ich w nowoczesne oczyszczalnie ścieków — odprowadzają do jeziora nie w pełni zneutralizowane wody...

Nauka stawia veto!

Grigorij Iwanowicz Gałazin — dyrektor Instytutu Limnologicznego w Listwiance ma wszelkie prawo wyrazić opinie uczonych, gdy chodzi o sprawy Bajkału i wszystkich wód Syberii oraz Dalekiego Wschodu. Od 27 lat kieruje tą unikalną w Kraju Rad instytucją, będącą wyspecjalizowaną placówką. Instytut ma nie tylko bogate tradycje, ale i sławnych poprzedników.

Od XVIII stulecia świat uczonych interesował się żywo Bajkałem, a pierwsze istotne odkrycia przyniósł wiek ubiegły. Wśród pionierów, którzy wnieśli wybitny wkład w zbadanie Bajkału oraz rozwoju w nim endemicznej flory i fauny byli Polacy — Benedykt Dybowski, ze swoimi towarzyszami z zesłania J. Czerskim, A. Czekanowskim, W. Godlewskim i innymi. Dziś w muzeum Bajkału w Listwiance na poczesnym miejscu stoją popiersia tych polskich uczonych.

Współczesna nauka wcale nie twierdzi, że o Bajkale wie już wszystko — mówi doktor nauk biologicznych, Grigorij Gałazin. Zadaniem 400-osobowej kadry Instytutu, jest nie tylko poszerzanie wiedzy o bogactwach i osobliwościach Bajkału, ale także określanie kierunków, metod i perspektyw zagospodarowania całej wschodniej Syberii.

Naukowcy mogą złożyć veto, gdy zajdzie potrzeba — różnym planistycznym czy inżynieryjnym projektom. — *Służę przykładami* — mówi Gałazin. *Na nasz wniosek ograniczony jest wyrąb drewna z określonych rejonów dorzecza Bajkału. Całkowicie wstrzymany został spław drewna po rzekach — dopływach bajkalskich, co chroni jezioro przed niepożądanymi procesami gnilnymi. Chcemy też spowodować całkowitą zmianę profilu produkcji w nadbajkalskich zakładach celulozowych, aby nowe technologie mogły funkcjonować w zamkniętych tylko dla siebie obiegach wody i bez jakichkolwiek odpadów produkcyjnych.*

Wielkie laboratorium przyrody

Wiele jeszcze tajemnic kryje Bajkał. Już samo powstanie tego gigantycznego akwenu natury jest nadal hipotetyczne. Zaczęło się najprawdopodobniej od kataklizmu — pęknięcia skorupy ziemskiej, gdzie w powstałą szczelinę spłynęły wody z gór. Gromadzące się od około 25 milionów lat osady denne utworzyły warstwy 6 tys. metrów grubości (absolutną głębokość Bajkału liczyć więc można na przeszło 7.600 metrów). Otaczające jezioro góry (od 2 tys. metrów wysokie) należą do najstarszych na naszej planecie, uformowanych przed około 2,5 miliardami lat. Duża sejsmiczność tych rejonów — około 2 tys. trzęsień ziemi w roku — powoduje nieprzewidziane zmiany formacji bajkalskiego basenu. Tylko np. w wyniku trzęsienia, które wydarzyło się w grudniu 1861 roku liczący 200 kilometrów kwadratowych przybrzeżny obszar pogrążył się — wraz z ludzkimi osadami — pod wodą Bajkału, tworząc nową wielką zatokę Prował.

Ale jeszcze bardziej frapującymi naukę jest powstanie i rozwój unikalnych żywych organizmów bajkalskiego jeziora. Występuje tu obecnie aż 2.500 rodzajów fauny i flory, z czego 2/3 to endemiczne organizmy kopalne nigdzie — poza Bajkałem — nie spotykane. Bajkał jest więc unikalnym, naturalnym laboratorium badań biologicznych.

Wiadomo, że co dobrego i złego czyni człowiek przyrodzie na powierzchni ziemi, stokrotnie kumuluje się w wodzie. Badania naukowe mogą więc szczególnie wyprzedzać praktykę i prognozowanie warunków ochrony życia i współdziałania człowieka z przyrodą.

TESŁAW KOLIJEWICZ

Zagadka wciąż nie rozwiązana

Na tropach „człowieka śniegu"

„Zbocze wąwozu było spadziste. Daleko w dole dolina Karataga. Siergiej Masłow chwytał za skalne występy próbując wdrapać się na jedną z maleńkich platform. Raptem na przeciwległym zboczu ukazała się duża czarna postać. Z jej ruchów było widać, iż nie jest to człowiek...".

Był to tylko jeden z epizodów kolejnej wyprawy w poszukiwaniu „Człowieka śniegu". Od wielu już lat organizowane są one w górach Pamiru, Kaukazu, Tien-Szania pod patronatem młodzieżowej gazety radzieckiej — „Komsomolskiej Prawdy". Mimo sceptycyzmu wielu naukowców „Komsomolska Prawda" pomaga w organizowaniu amatorskich ekspedycji naukowo-poszukiwawczych. Niedawno o rezultatach ostatniej, ubiegłorocznej opowiedział w Muzeum Darwinowskim w Moskwie szef wyprawy, J. F. Tacl. Mówił on o nowych odkryciach, nieoczekiwanych spotkaniach, realiach i nadziejach na potwierdzenie hipotezy o istnieniu „Człowieka śniegu".

Trzyosobowa grupa z inżynierem Walerym Czepurko na czele miała zbadać niewielką grotę w wąwozie, w którym rozbiła swój obóz ekspedycja „Komsomolskiej Prawdy". Natrafiono tam wcześniej na legowisko nieznanego zwierza.

Do zbocza, na którym znajdowała się grota, grupa przybyła pod wieczór i zdecydowano, że wspinaczka rozpocznie się na drugi dzień rano. Późnym wieczorem wszyscy leżeli w namiocie i rozmawiali. W odległości siedmiu metrów dogasało ognisko. Nagle spadł na nie kamień, wyrzucając w górę popiół i iskry. Potem w ognisko uderzały kolejne kamienie. Kanonada trwała przez godzinę. Cała trójka była tym mocno przestraszona. Wszyscy pogasili papierosy i nikt nie wychodził z namiotu. Kamienie wielkości pięści rzucane były bardzo celnie. Rano naliczono ich w ognisku około 30. Kto rzucał kamienie? Przecież ludzi w tej okolicy nie było!?

I jeszcze jedno ważne odkrycie ekspedycji „Komsomolskiej Prawdy": natrafiono na duże wyraźne ślady, które zalano gipsem, uzyskując odciski. Ogromne, prawie półmetrowe ślady prowadziły w poprzek ścieżki do rzeki, a następnie nieco wzdłuż brzegu — po czym zniknęły na twardym gruncie. Długość jednego śladu — 49 centymetrów!

... Każda publikacja na łamach „Komsomolskiej Prawdy", dotycząca pracy amatorskiej ekspedycji w Pamirskim wąwozie rzeki Warzob w Tadżykistanie, poszukującej „Człowieka śniegu", powoduje lawinę listów do redakcji.

Oto dla przykładu list młodego robotnika z miasta Niżniekamsk, Wiktora Chromowa:

„Miało to miejsce w górach Kaukazu. Utrzymywała się gęsta mgła. Samotnie szedłem ścieżką. W pobliżu usłyszałem łoskot kamieni, po których ktoś szedł. W miarę narastania szumu zacząłem się denerwować. Wszystko wskazywało na to, iż w pobliżu znajduje się duże zwierzę. W pewnym momencie wszystko ucichło. W parę sekund później rozległo się donośne uderzenie, jak gdyby ktoś bardzo ciężko zeskoczył na ścieżkę. Mgła w tym miejscu zakotłowała się. Usłyszałem głośne kroki i z mgły wyłonił się owłosione ciemnego koloru, ogromne nogi. Z przerażenia, jakie mnie ogarnęło, po prostu osłupiałem. Mimo woli spojrzałem w górę. Zobaczyłem olbrzymi tułów, głowę...

Przed idącą naprzeciw mnie „żywą skałą" nie sposób było uciec. Jednak w pewnym momencie nie wytrzymałem i zacząłem biec. Początkowo słyszałem za sobą głośne kroki. Uspokoiłem się dopiero w niewielkim jarze. Wydostałem się z niego i pobiegłem dalej w dół, wiedząc, że gdzieś w pobliżu powinien znajdować się aul. Usłyszałem szczekanie psów i po pewnym czasie dostrzegłem ogrodzenie. Wkrótce dotarłem do swej grupy. Pierwsze o co zapytałem kolegów — było: czy nie oświwialem?".

O podobnym wydarzeniu, jakie miało miejsce kilka lat temu na Kaukazie, opowiedział reżyser filmowy z Kijowa, Igor Guziejew. Według jego relacji, niemal nie zderzył się on na ścieżce z „Człowiekiem śniegu". Poprzez moment zatrzymali się i popatrzyli na siebie. Owłosiona istota odwróciła się i spokojne odeszła.

Guziejew również podkreślił ogromny wzrost „tajemniczego nieznajomego". Miał przy tym okazję zauważyć wiele szczegółów. Włosy na głowie istoty były czarne jak smoła i długie, spadały na oczy, tak iż nie można było zobaczyć pod nimi czoła i brwi. Cała istota była czarna, jakkolwiek miała rude łaty na piersiach i brzuchu. Plecy były natomiast zupełnie czarne. Guziejew zdążył również przyjrzeć się nogom. Były krótkie, proste, grube, pokryte gęstą czarną sierścią.

Ślady znalezione przez Wadima Makarowa, relacja naocznych świadków... Oczywiście, zbyt wcześnie jeszcze na wysuwanie końcowych wniosków.

Ludzie, którzy poświęcają udziałowi w ekspedycjach swe urlopy, kontynuują wysiłki w celu rozszyfrowania tajemnicy „Człowieka śniegu".

WŁADYSŁAW KNYCPEL

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA NR 11

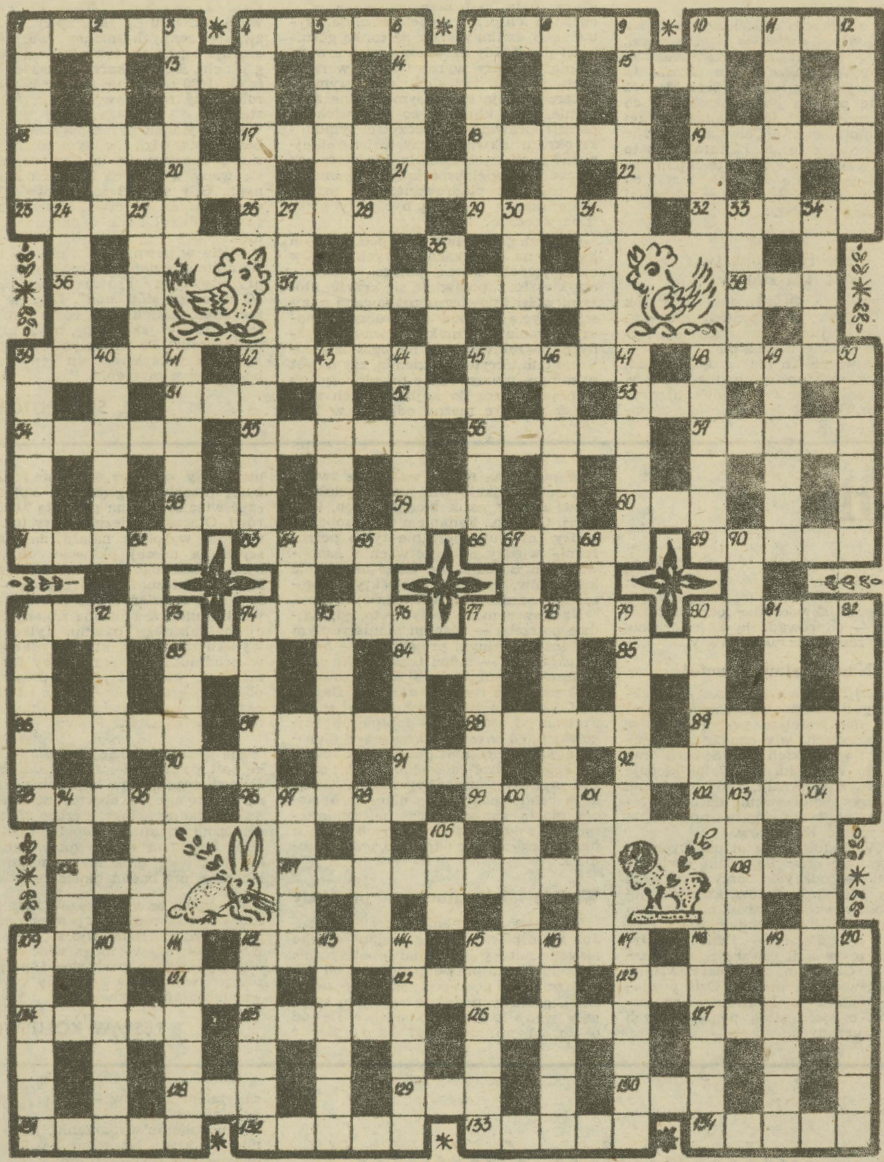

POZIOMO: 1) szkic; 4) tkanina wełniana tkana z grubej przędzy zgrzebnej; 7) ryba z rodziny karpiowatych; 10) złogi tłuszczu; 13) w Iranie „pan"; 14) angielskie piwo jasne; 15) pierwszy żagiel od strony grotmasztu; 16) ojczyzna Odyseusza; 17) magmowa skała żyłowa; 18) modlitwa muzułmańska; 19) struś amerykański; 20) 365 dni; 21) prawy dopływ Wołgi; 22) ssak z rodziny pustorożców; 23) produkt wytwarzany z ziarn zbóż; 26) gaz szlachetny; 29) dochód z posiadanego kapitału; 32) odłam wyznaniowy w obrębie danej religii; 36) ptak z rodziny łuszczaków; 37) niestrawność; 38) struś australijski; 39) sprężarka; 42) święta księga muzułmanów; 45) rzeka w Szwecji, uchodzi do Zatoki Botnickiej; 48) gładka tkanina, błyszcząca po prawej stronie; 51) ptak świetnie pływający, słabo latający i z trudem poruszający się po lądzie; 52) niski głos żeński; 53) jednostka pracy; 54) utwór dramatyczno-muzyczny w którym całe libretto jest śpiewane, 55) flakon; 56) zbiór map; 57) łagodzi wstrząsy na nierównościach dróg; 58) papuga; 59) najwyższy szczyt Krety; 60) długowieczny krzew lub drzewo iglaste; 61) bliźni brat Romulusa; 63) cyrkowy błazen; 66) słodki likier kminkowy; 69) włóczęga, obieżyświat; 71) republika w zach. Afryce nad Oceanem Atlantyckim; 74) stal stopowa, o bardzo małym współczynniku rozszerzalności cieplnej, używana do wyrobu przyrządów precyzyjnych; 77) narzędzie rolnicze do spulchniania i wyrównywania gleby; 80) przedmiot odlany; 83) prawy dopływ Biebrzy; 84) utwór poetycki, opiewający ważne wydarzenia; 85) owocowy ogród; 86) najwyższy punkt na sferze niebieskiej, wyznaczony przez kierunek pionu; 87) instytucja religijna nakładająca na członków obowiązek zachowania reguł i przestrzegania ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa; 88) na łodydze np. róży; 89) jednostka masy w krajach anglosaskich; 90) z I b; 91) wierzba; 92) Zakład Ubezpieczeń Społecznych; 93) pierwiastek chem. z rodziny platynowców; 96) grzyb jadalny; 99) republika związkowa w ZSRR; 102) czterochlorek węgla; 106) rzeka w Chinach i ZSRR, uchodzi do jeziora Bałchasz; 107) wylęgarka piskląt; 108) poeta, założyciel Towarzystwa Filaretów; 109) np. projekcyjny; 112) zakręt drogi; 115) stan nudy, apatii, zniechęcenia; 118) sitwa; 121) Baba; 122) część utworu scenicznego; 123) żądli; 124) niemiecki obóz jeniecki dla oficerów; 125) związek organiczny, będący produktem reakcji alkoholu i kwasu powstały przez usunięcie wody; 126) wieś w woj. kieleckim nad Czarną; 127) stolica Bułgarii; 128) kanion; 129) typ siedliskowy lasu liściastego występujący na glebach gł. bagiennych; 130) spoiwo; 131) infuła biskupa; 132) pas ziemi uprawnej; 133) ssak z rodziny jeleniowatych; 134) pierwiastek promieniotwórczy z rodziny chlorowców.

PIONOWO: 1) Zwierzyniec Niebieski; 2) krótki odpoczynek; 3) największa pustynia na Ziemii; 4) sproszkowany tytoń; 5) zakończenie, kres, finał; 6) sformułował atomistyczną teorię materii, odkrył prawa stosunków wielokrotnych i ciśnień cząstkowych; 7) jednostka masy, obecnie bardzo rzadko używana; 8) dawniej starszy flisak; 9) utrata zdolności mówienia; 10) śmierdziel; 11) okienko w dachu służące do wentylacji i oświetlenia poddasza; 12) szkodnik lasów sosnowych; 24) olbrzym o 100 wiecznie czuwających oczach, które Hera przeniosła na ogon pawia; 25) część morza oddzielona mierzeją; 27) najstarsze rolnicze narzędzie do spulchniania gleby; 28) olcha; 30) główne miasto Zagłębia Ruhry w RFN; 31) szlak; 33) wynik, rezultat, skutek; 34) zespół aktorski w teatrze lub cyrku; 35) ręczne narzędzie do omłotu zbóż; 39) sekundomierz; 40) pogląd odrzucający wiarę w istnienie Boga; 41) owoc południowy; 42) wylew krwi do tkanek ciała; 43) ornament w kształcie stylizowanej, rozwiniętej róży; 44) gęste płótno bawełniane barwy brązowo-żółtej, z silnym połyskiem; 45) w starożytności nazwa pd. części Płw. Apenińskiego; 46) podłużne obniżenie powierzchni ziemi o jednakowym nachyleniu; 47) ryba z rodziny karpiowatych; 48) krzew owocowy, ciernisty; 49) drobny ssak drapieżny z rodziny łasicowatych; 50) skoagulowana krew; 62) część kończyny dolnej; 64) ryba słodkowodna; 65) stolica Baszkirskiej ASRR; 67) waluta Włoch; 68) prawy dopływ Wisły; 70) pierwiastek promieniotwórczy; 71) gorące źródło; 72) składnik strukturalny stali hartowanych i żeliw szarych, jest odmianą perlitu; 73) bóg morza; 74) samica ryb dojrzała do rozrodu; 75) wzgórze w kształcie ściętego stożka, utworzone z zakrzepłych potoków lawy; 76) archegonium; 77) najgłębsze jezioro na ziemi pochodzenia tektonicznego w Syberii Wsch.; 78) drapieżnik z rodziny kotów; 79) surowy, wstrzemięźliwy tryb życia zmierzający do doskonalenia się w cnocie; 80) lokalna doroczna uroczystość kościelna z okazji święta patrona danego kościoła; 81) nóż chirurgiczny; 82) prawy dopływ środkowej Odry; 94) łódź o drewnianym szkielecie pokrytym skórą, używana przez Eskimosów; 95) jeden z rodzajów literatury; 97) dowód stwierdzający czyjąś nieobecność na miejscu i w czasie przestępstwa; 98) często bywa przyczyną pożarów; 100) część łowiska leśnego, gdzie gromadzi się gruba zwierzyna; 101) fałdy skórne ograniczające szparę ustną; 103) daw. wygnaniec, banita; 104) plac targowy w mieście; 105) duży port Japonii, pd. Honsiu; 109) nadzorca robót folwarcznych; 110) przeżytek kulturowy; 111) miasto i duży port Japonii; 112) wykastrowany samiec świni domowej; 113) trzcinopalma; 114) język zepsuty, niepoprawny, niezgodny z normami; 115) bardzo silne napięcie psychiczne; 116) słodki napój alkoholowy; 117) krótki utwór epicki pisany prozą; 118) szkatuła; 119) tytuł książąt domu królewskiego w Hiszpanii; 120) ustęp tekstu zaczynający się od nowego wiersza.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 24 kwietnia br.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8

POZIOMO: 1) cetnar; 5) septet; 8) ugiaz; 9) [illegible]; 10) [illegible]; 11) [illegible]dra; 12) strefa; 15) komeda; 18) bibuła; 21) kaliko; 24) kobza; 26) terror; 27) kabała; 28) olcha; [illegible]) tarpan; 30) odnóża.

PIONOWO: 1) casus; 2) Niobe; 3) Rugia; 4) płód; 5) [illegible]; 6) [illegible]; 7) tykwa; 13) tri; 14) fal; 16) [illegible]; 17) dok; 18) balet; 19) [illegible]rop; 20) akron; 21) kakao; 22) Lubin; 23) obawa; 25) baca.

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 8, drogą losowania nagrody otrzymują panie **Józefa Samoder** z Nowego Sącza oraz **Genowefa Twaróg** z Limanowej. Gratulujemy!

Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI ZE STR. 24

Podejrzany jest pan Mille, gdyż jego zeznanie nie może być prawdziwe: antykwariusz zakończył życie między godziną 20 a 21, nie mógł zatem rozmawiać z panem Mille o godz. 22.30.

na ekranie TV

PIĄTEK, 9 KWIETNIA

PROGRAM I

8.05 Kino Teleferii — „Bokser" — „Turniej Zielonych";
10.00 Dziennik;
15.55 Program dnia;
16.00 Dla młodych widzów: „Krąg";
16.30 Dla dzieci: „Piątek z Pankracym";
17.00 Dziennik;
17.30 Wielkanoc w Dobrej — obrzędy i obyczaje we wsi podhalańskiej;
17.50 „Czarne chmury" (10) — „Pościg";
18.50 Dobranoc — Podróże skrzata Hajduszka;
19.00 Rolnicze rozmowy;
19.10 Kino debiutów;
19.30 Dziennik;
20.00 Monitor rządowy;
20.30 „Szpital na peryferiach" (11) — „Pogodzeni" — czechosłowacki serial obyczajowy;
21.30 Maria Callas — film muzyczny;
22.30 Dziennik;
22.50 Melodia na dobranoc.

PROGRAM II

17.00 Język rosyjski — lekcja 2;
17.30 Język francuski — lekcja 2,
„Dwójka" dla drugiej zmiany
18.00 Rok Karola Szymanowskiego — „Litania do Marii Panny";
18.15 Z Polski rodem;
18.45 Bisy Eleny Obrazcowej;
19.00 Kronika;
19.30 Dziennik;
Telewizja Łódź na antenie „Dwójki"
20.00 Gra orkiestra Filharmonii Łódzkiej;
20.10 „Sprawy do załatwienia" — reportaż film.;
20.30 Tajemnice i sensacje małej kinematografii — „Tajemnice katedralnych podziemi";
21.20 Pieniądze królowej Bony;
21.30 Piosenki z teatru — śpiewają Małgorzata Rogacka i Tadeusz Kwaśniak

SOBOTA, 10 KWIETNIA

PROGRAM I

8.15 Kino Teleferii: „Znicz olimpijski" — „Turniej zielonych";
10.30 Dziennik;
11.15 Siedem anten;
12.05 Filmoteka narodowa — filmy Wojciecha Hasa: „Rękopis znaleziony w Saragossie";
15.00 Monitor sejmowy;
15.30 „Podróż Karola Darwina" (1) — ang. serial biograficzny;
16.30 Dziennik;
16.50 „Ofensywa wyzwolenia";
17.25 „D'Artagnan i trzej muszkieterowie" (1)
18.50 Dobranoc;
19.05 Wiosenne ballady — śpiewa Leszek Długosz;
19.30 Dziennik;
20.15 Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy (10) — serial TP;
21.15 „Stabat mater" — film dok.
21.50 Dziennik;
22.30 Kino Interesujących Filmów — „Ludzie z deszczu" — ameryk. film psychologiczno-obyczajowy.

PROGRAM II

15.55 Program dnia;
16.00 Inauguracja Dni Olimpijczyka;
16.30 „Jak cudne są wspomnienia" (1) — „Podwójne życie";
17.30 Popołudnie przygody i podróży;
19.00 KRONIKA;
19.30 Dziennik;
20.15 „La Canterina" — opera komiczna Józefa Haydna;
21.15 „Abigel" (2) — węgierski serial obyczajowy;
22.25 Witkacego twarz zwielokrotniona — reportaż z międzynarodowego festiwalu witkacowskiego.

NIEDZIELA, 11 KWIETNIA

PROGRAM I

9.00 Kino Teleferii — „Panienka z okienka" (1);
10.35 Espana 82;
11.15 Zapraszamy do klubu — progr. red. rolnej;
11.50 Dziennik;
12.35 Telewizyjny koncert życzeń;
13.20 Teatr dla dzieci: „Niezwykłe przygody doktora Doolittle i jego przyjaciół" (1);
14.15 Losowanie Dużego Lotka;
14.35 D'Artagnan i trzej muszkieterowie (2);
16.00 Teatr TV na świecie — G. B. Shaw: „Nigdy nic nie wiadomo";
18.00 I liga piłki nożnej;
18.45 Proste pytania;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 „Samotnik" — fr. komedia;
21.45 „Powroty" — film dok.;
22.15 „Śpiew przez sen" — Wiesław Gołas śpiewa piosenki Freda Buscaglione;
22.45 Kino nocne.

PROGRAM II

10.45 Saga żołnierskiego rodu — wojskowy film dok;

Studio-2

11.25 Magazyn rodzinny;
11.30 „Brzechwa nie tylko dzieciom";
12.00 Samochody i ludzie — „Mecz Renault — Citroen" — film dok.;
13.00 Portret z autografem;
13.30 Koncert życzeń Studia-2;
13.50 Teleturniej;
14.30 Koncert życzeń Studia-2;
14.40 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej;
15.10 Koncert życzeń Studia-2;
15.20 Filmy animowane dla dorosłych;
16.00 „Zwariowany weekend" — fr. komedia;
17.30 „Bliżej natury";
18.00 „Muppet show";
18.25 Magazyn rodzinny;
18.35 „Państwo w pagodach i katedrach" — film przyrodn.;
19.25 Koncert życzeń Studia-2;
19.30 Dziennik;
20.05 „Portret kompozytora" — Romuald Twardowski;
21.05 Magazyn rodzinny;
21.15 Program rozrywkowy;
21.45 „Metro" — reportaż;
22.15 Gra orkiestra Zbigniewa Górnego.

PONIEDZIAŁEK, 12 KWIETNIA

PROGRAM I

9.00 Kino Teleferii — „Panienka z okienka" (2);
10.20 Architektura drewniana w Polsce;
10.50 W starym kinie — „Szpieg w masce";
12.10 „Palmowe święto" — rep. film.;
12.35 Dziennik;
12.45 „Na krosnach zapisane" — rep. film.;
13.15 Z cyklu „Punkt widzenia" — „I.T.D.";
13.25 „Klub sześciu kontynentów";
14.15 Teatr dla dzieci: „Niezwykłe przygody doktora Doolittle i jego przyjaciół" (2);
15.15 „D'Artagnan i trzej muszkieterowie" (3);
16.30 „Prosto z Polski";
16.50 „Żółta łódź podwodna" — film z muzyką zespołu „The Beatles";
18.15 „Co robią rodacy" — program publ.;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 Teatr Telewizji — Alfred de Musset: „Kaprys";
20.50 „Magnesy estrady" — program rozr.;
21.40 Wiadomości sportowe;
22.10 „Solo i w duecie" — Lidia Kłobucka i Ryszard Tarasewicz.

PROGRAM II

Studio-2

12.10 Magazyn rodzinny;
12.15 „Brzechwa nie tylko dzieciom";
12.45 „Małpy z doliny Amazonki" — film przyrodniczy;
13.15 Świąteczne zwyczaje;
13.25 „Nie lubię poniedziałku" — polska komedia;
15.05 Magazyn rodzinny;
15.10 „Bliżej natury";
15.30 „Muppet show";
16.00 Magazyn rodzinny;
16.05 Hodowle z pestek;
16.20 „Prawda i legenda" — „Co wiemy o Stańczyku";
16.50 „Wielka gra" — telcturniej;
17.40 Magazyn rodzinny;
17.45 Staropolskie spotkanie z balladą;
18.55 Magazyn rodzinny;
19.00 „Tamara" — film dok.;
19.30 Dziennik;
20.05 „Dr Jekyll i Mr. Hyde";
21.25 „Na początku był piasek" — film dok.;
21.55 Magazyn rodzinny;
22.00 Gwiazda Jazz Jamboree

TV BRATYSŁAWA

SOBOTA, 10 KWIETNIA

11.30 „Echa" — mag. dla niesłyszących;
11.50 „Sami wśród wilków" (1)
13.25 „Zakochana" — piosenki L. Filipowej;
14.05 Informacyjny Miesięcznik Sportowy (marzec 1982);
14.25 Zabawy ludowe;
15.30 Wielka Nagroda Cheposu;
16.30 Muz. program rozrywkowy;
17.10 Spotkanie z przyjaciółmi Zielonej Doliny
17.50 6+1;
18.30 Ludzie z „Reportażu"
19.10 Wieczorynka;
19.30 Dziennik TV;
20.00 „Pół domu bez pana młodego" — czeska komedia satyr.;
21.25 „Browar w Sojkowie" — widowisko muz-taneczne;
22.50 Bramki, punkty, sekundy;
23.05 „Tak zdobyto Everest" — film
23.55 Gwiazdy w transmisji bezpośredniej: Fabienne Thibaul

NIEDZIELA, 11 KWIETNIA

11.00 „Inżynierska odyseja" (1);
11.50 Zwierciadło tygodnia;
12.20 Południowy koncert;
13.10 Śpiewy i tańce ludowe:
13.40 Historia czechosłowackiej piłki nożnej;
14.20 „Brontozaur" — film czeski;
15.50 „Złote Wrota" — progr. dla dzieci;
16.50 „Duchaczek to załatwi" — czeska komedia filmowa;
18.20 „Ja, dziewczę ubogie" — progr. muzyczny;
19.10 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 Niedzielna chwila poezji;
20.10 J. Dietl: „Zatarg architekta Zitka";
21.10 Bramki, punkty, sekundy;
21.30 Dyskoteka dla osób starszych — progr. rozrywk.;
22.10 „Domino" — film ameryk.;
23.50 „Zaproszenie do St. Vincent"

REPERTUAR KIN

CZARNY DUNAJEC: 12 Zemsta różowej pantery (ang., komedia), 13 Porwanie Savoi (pol., sensacyjny), 16 i 18 Ukochana żona (wł., komedia), 19—20 Po drodze (pol.-węg., dramat psychologiczny), **GORLICE:** 8—11 Nieme kino (USA, komedia), 12—19 Czas Apokalipsy (USA, dramat społeczny), 20—24 Czułe miejsca (pol., science-fiction), **GRYBÓW:** 10 i 12 Zwolnienie warunkowe (USA, dramat psychologiczny), 13—15 Miły sąsiad (węg., dramat społeczny), 17—19 Wspólnik (franc., komedia satyryczna) ,20—22 Ciosy (pol., dramat psychologiczny), **JABŁONKA:** 10 i 12 Rocky—2 (USA, dramat społeczny), 15—16 Okupacja w 26 obrazach (jug., dramat społeczny), 17—18 Śmiertelny pościg (franc., sensacyjny), 22—23 Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi (CSRS, komedia satyryczna), **JORDANÓW:** 9 i 12 Szantaż (ang., sensacyjny), 13—14 Podróż do Arabii (pol., dramat psychologiczny), 16 i 18 New York (USA, muzyczny), 20—21 Opowieść o prawdziwym człowieku (radz., wojenny), **KROŚCIENKO:** 9, 10, 12 Żandarm na emeryturze (franc., komedia), 12—14 Dagny (pol., dramat psychologiczny), 16—18 Ludzie godni szacunku (wł., sensacyjny), 19—21 Homilkowie na urlopie (CSRS, komedia), **KRYNICA:** Jaworzyna: 13—15 Panie proszą (bułg., komedia), 16—18 Ryś (pol., dramat psychologiczny), 19—22 Czarny korsarz (wł., przygodowy), **LIMANOWA:** 10, 12 Skrzydełko czy nóżka (franc., komedia), 13—14 Olimpiada—40 (pol., dramat społeczny), 15—18 Szczęki—II (USA, przygodowy), 20—21 Życz mi złej pogody (radz., dramat psychologiczny), 22—25 Coma (USA, sensacyjny), **LUBIEŃ:** 12 O jeden most za daleko (ang., dramat społeczny), 14 Poranny obchód (radz., dramat psychologiczny), 18 Czy zabiła? (franc., sensacyjny), 21 Zew rodu (CSRS, przygodowy), **ŁABOWA:** 10 i 12 Szantaż (ang., sensacyjny), 16 i 18 Przygody Ali Baby i 40 rozbójników (radz., kostiumowy), **MSZANA DOLNA:** 10 i 12 Wspólnik (franc., komedia satyryczna), 13—14 Ciosy (pol., dramat psychologiczny), 20—21 Prom do Szwecji (pol., sensacyjny), 15—18 Kobra (jap., sensacyjny), 22 Każdy umiera w samolotności (RFN, dramat społeczny), **MUSZYNA:** 9, 10, 12 Sędzia Fayard zwany szeryfem (franc., dramat społeczny), 13—15 Dubler (franc., komedia), 16—18 Zwolnienie warunkowe (USA, dramat psychologiczny), 20—22 Miły sąsiad (węg., dramat społeczny), 23 Wspólnik (franc., komedia satyryczna), **NOWY SĄCZ: Podhale:** 8—10 Transamerican ekspress (USA, sensacyjny), 12—14 Dziedzictwo (ang., horror), 15—19 Alicja (pol., muzyczny), 20—23 Wierna żona (franc., kostiumowy), **NOWY TARG:** 8—14 Old Surehand (jug., przygodowy), 15—21 Wielka majówka (pol., przygodowy), 22 Czas Apokalipsy (USA, dramat społeczny), **PIWNICZNA:** 10 i 12 Rój (USA, katastroficzny), 14—15 Mniejsze niebo (pol., dramat psychologiczny), 17—18 Rewolwer (wł., dramat społeczny), 21—23 Dzień Wilły (pol., dramat społeczny), **PORONIN:** 10 i 12 New York, New York (USA, muzyczny), 13—15 Opowieść o prawdziwym człowieku (radz., wojenny), 16—18 Skok w pustkę (wł., dramat psychologiczny), 20—22 Kazimierz Wielki (pol., historyczny), 23 Szczęki—II (USA, przygodowy), **RABA WYŻNA:** 9 Sprawa Gorgonowej (pol., dramat psychologiczny), 10 i 12 Glina czy łajdak (franc., sensacyjny), 13 i 16 Koziorożec (USA, sensacyjny), 17—18 Szantaż (ang., sensacyjny), 20 i 23 Podróż do Arabii (pol., dramat psychologiczny), **RABKA:** 8—12 Skrzydełko czy nóżka (franc., komedia), 13—14 Olimpiada—40 (pol., dramat społeczny), 15—18 Szczęki—II (USA, przygodowy), 20—21 Życz mi złej pogody (radz., dramat psychologiczny), 22 Coma (USA, sensacyjny), 10 i 12 Wspólnik (franc., komedia satyryczna), 13—14 Waterloo (radz., historyczny), 17—18 Rój (USA, katastroficzny), 20—21 Mniejsze niebo (pol., dramat psychologiczny), **STARY SĄCZ:** 10—12 Transamerican ekspress (USA, przygodowy), 13—15 Dagny (pol., dramat psychologiczny), 17—19 Skrzydełko czy nóżka (franc., komedia), 20—22 Olimpiada—40 (pol., dramat psychologiczny), **SZCZAWNICA:** 8, 9, 10, 12 Miłość czy wszystko wybaczy (pol., dramat psychologiczny), 13—14 Ciemne słońce (CSRS, sensacyjny), 15—18 Coma (USA, sensacyjny), 20—21 Jeździec bez głowy (radz., przygodowy), 22—25 Vabank (pol., komedia), **TYMBARK:** 10—11 Lawina (USA, katastroficzny), 17—18 Ogarlowa—6 (radz., sensacyjny), **ZAKOPANE: Giewont:** 9, 10 Wielka majówka (pol., przygodowy), 12—20 Znachor (pol., dramat psychologiczny), 21—25 Śmierć na żywo (franc., dramat psychologiczny).

UWAGA: W dniu 11.04 kino „Jaworzyna" w Krynicy — nieczynne. (w)

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 238, telex: 0322191. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie, ul. Wielopole 1.
Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 22-70-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657. K-2

Andrzej Stok

CIEKAWOSTKI

Cud techniki

Japończycy skonstruowali minitelewizor, mieszczący się na dłoni dorosłego człowieka. Telewizorek ten określono cudem nowoczesnej techniki. Będzie on masowo produkowany przez koncern Hitachi od 1983 r. Ten kieszonkowy telewizor odznacza się znakomitym obrazem.

Pije Heinz do Heinza

W RFN ogłoszono wyniki badań w sprawach alkoholizmu. Okazało się, że w kraju tym istnieje ponad milion osób, które piją codziennie 80 gramów alkoholu, co odpowiada 8 kuflom piwa lub 12 kieliszkom wódki. Liczba abstynentów wśród dorosłych obywateli tego kraju wzrosła ostatnio do 6 procent.

Metal droższy od złota

Gal — droższy od złota metal stosowany w przemyśle elektronicznym, w technice laserowej i medycznej, wytwarzany jest w Pawłodarskich Zakładach Aluminiowych. Proces wytopu jest całkowicie zautomatyzowany. Technologię otrzymywania tego metalu — pierwszy raz w ZSRR — opracowali specjaliści z zakładów wraz z naukowcami z Akademii Nauk Kazachskiej SRR i Państwowego Instytutu Metali Rzadkich. W tych samych zakładach od ub. roku ruszyła także produkcja wanadu — cennego dodatku stopowego, m. in. do stali narzędziowej.

„Łowczyni Głów"

Niezwykły zawód ma 32-letnia Sue Sarkis z Glendale w Kalifornii. Poluje ona na przestępców, za których ujęcie władze USA wyznaczyły wysokie nagrody i stąd jej przydomek „Łowczyni Głów".

Jednego z gangsterów schwytała dwukrotnie, po tym gdy udało mu się uciec z więzienia. Drugi raz Sarkis aresztowała go po 8-godzinnej strzelaninie. Otrzymała za to 48 tysięcy dolarów.

Handel dziećmi

Włoski port Genua stał się głównym ośrodkiem handlu dziećmi, przywożonymi tu z Ameryki Południowej. Dzieci poniżej roku „idą" jak przysłowiowa woda. Zapotrzebowanie jest ogromne, bowiem we Włoszech jest mnóstwo bezdzietnych małżeństw, które płacą chętnie za dziecko od 5 do 8 tysięcy dolarów.

Słoniom grozi zagłada!

Angielscy uczeni uderzyli na alarm. Największym lądowym zwierzętom — słoniom grozi całkowita zagłada. W opublikowanych na ten temat materiałach stwierdzono, że jeśli natychmiast nie ustanie handel kością słoniową i nie zaprzestanie się niszczenia środowiska naturalnego słoni, to na przełomie obecnego wieku zwierzęta te zupełnie wyginą.

JACEK CHRUŚCIELEWICZ

LEKTURA

W twoich błękitnych oczach
czytam, moja mała,
historyjkę o twierdzy,
która się... poddała

WYBRAŁA BEATA DEMBOWSKA

ROZMAITOŚCI

JERZY LESZCZYŃSKI

MAŁA WSKAZÓWKA

Nie w zegarku tkwi
główna sprężyna,
gdy maż z pracy
spóźniać się zaczyna

Eugeniusz Korkosz

Refleksje wychowawcy

Niejeden uzależniając dożywocie od procentów z zagwarantowanych długów wdzięczności musiał na stare lata wyruszyć w świat z żebraczą torbą na plecach.

*

Źle, gdy księgę życia stanowią opasłe tomy akt sądowych.

*

Wiele pięknych kart historii zapisali także analfabeci.

*

Niedobrze, jeśli swym postępowaniem utwierdzamy dziecko w przekonaniu, że do niesienia pomocy służą jedynie sanitarne nosze.

*

Trudno zachować właściwą postawę na życiowych wirażach, jeśli ma się kłopoty z utrzymaniem równowagi psychicznej.

*

Wszyscy w domu zostali bez butów, ale syn odpowiadał przed sądem z wolnej stopy.

Zagadka kryminalna „Przekroju"

W antykwarni

Gdy młody subiekt przybył jak zwykle do pracy o 10.30 rano i otworzył swym kluczem antykwariat, znalazł w pokoiku za sklepem zwłoki swego pryncypała, zabitego ciosem sztyletu w serce. W kilka minut potem była na miejscu policja oraz lekarz sądowy który po krótkim badaniu orzekł, że zbrodnia miała miejsce 14-15 godzin wstecz. Z antykwariatu znikły trzy przedmioty: 1. stary portret, kupiony przez antykwariusza od niejakiego pana Witscha, 2. naszyjnik nefrytowy oddany w komis przez panią Homel oraz 3. cenny arras, nabyty od pana Mille. Inspektor Werner wezwał te trzy osoby, które zeznały co następuje:

— Przyszedłem wczoraj o 19 do antykwariatu, by odkupić portret mojego pradziadka, który poprzednio byłem zmuszony sprzedać — powiedział pan Witsch. — Subiekta już nie było, gdyż, jak wiem, wychodzi zawsze o 18, ale antykwariusz jeszcze urzędował. Szybko dobiliśmy targu, zapłaciłem i wyszedłem zabierając obraz.

— Wstąpiłam do antykwariatu po kinie — powiedziała pani Homel. — W sklepie nikogo nie było, ale słyszałam, że antykwariusz rozmawia z kimś przez telefon w tylnym pokoiku. Nie chciałam mu przeszkadzać, więc po prostu wzięłam swój naszyjnik i wyszłam.

— Ja przyszedłem do antykwariatu o 22.30 żeby odebrać arras, gdyż trafił mi się lepszy kupiec — oświadczył pan Mille. — Antykwariusz zgodził się oddać go, jeśli podzielę się z nim zyskiem. Tak się umówiliśmy, po czym wyszedłem z arrasem pod pachą. Jeszcze przedtem, gdy pakowaliśmy w sklepie arras, usłyszałem jakieś szmery w tylnym pokoiku, ale antykwariusz powiedział, że to hałasują myszy.

Na podstawie tych zeznań inspektor wyrobił sobie zdanie o osobie mordercy.

Kogo posądzał?

(Rozwiązanie na str. 22)

Jak pozbyć się stresu?

Żyjemy w trudnych czasach — powtarzamy; wszystkie przeciwności codziennego życia odbijają się na naszych nerwach. Kiedyś żyło się spokojniej.

Zdaniem uczonych kiedyś żyło się po prostu inaczej. Ludzie mieli więcej wysiłku fizycznego, który doskonale zwalcza stres. Kiedy nasze prababki chwytały za tarkę i nalewały wody do balii, bielizna była prawdopodobnie najczystsza, gdy zacne panie miały powód do złości. Zwiększony wysiłek fizyczny powoduje wydzielanie się w organizmie endorfin, substancji o działaniu podobnym do morfiny. Endorfiny radzą sobie ze stresami znacznie lepiej niż środki uspokajające. Człowiek XX wieku woli jednak w chwili zdenerwowania sięgnąć po papierosa, alkohol lub pigułkę — gdy znacznie zdrowiej byłoby zabrać się do mycia okien.

Powodem do stresów jest także nieustanna pretensja do świata, że wszystko miało być inaczej. Współczesne życie stwarza wiele nadziei, gorzej jednak z ich realizacją. Któż z nas nie jest z jakiegoś powodu rozczarowany lub sfrustrowany? Kultury wschodnie już w zamierzchłych czasach zalecały odprężenie psychiczne poprzez medytacje, pomimo, że w dawnych czasach stosunek do życia był bardziej tolerancyjny, a oczekiwania z nim związane — znacznie skromniejsze.

Kardiolog amerykański, Herbert Benson, twierdzi, że medytacja nie tylko uspokaja, ale obniża też ciśnienie krwi i „uspokaja" serce. Jego przepis na poprawę samopoczucia jest bardzo prosty: **znajdź miejsce, w którym nikt nie będzie ci przeszkadzał; usiądź wygodnie; zamknij oczy i oddychaj głęboko; podczas wydechu powiedz do siebie jakieś słowo — wszystko jedno jakie — i skoncentruj się na nim; postaraj się nie myśleć o niczym innym. Po 10—20 minutach otwórz oczy, ale nie wstawaj, posiedź spokojnie jeszcze parę minut.**

Po takiej „kuracji" pacjenci doktora Bensona czują się podobno doskonale. Może warto spróbować!